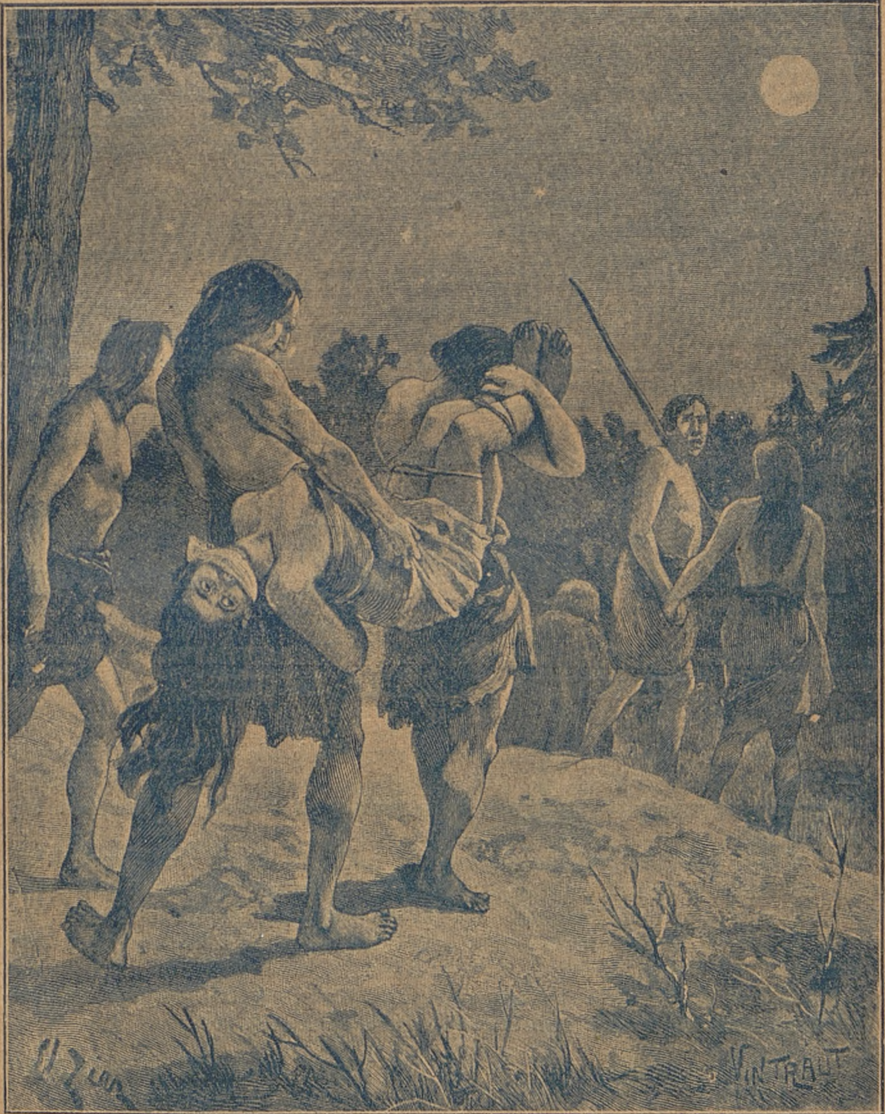
Mój Przyjaciel

Podróże = Przygody = Nauka

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY

Rok V. Warszawa, luty 1928 № 2.



Cena 60 groszy.

MÓJ PRZYJACIEL

PODRÓŻE PRZYGODY NAUKA

Rok V. Warszawa, luty 1928 Nr. 2.

PO ZŁOTE RUNO.

ZAMORSKIE KOLONIE STANOWIĄ DZIŚ ŹRÓDŁO BOGACTWA WIELKICH MOCARSTW EUROPEJSKICH. KILKA WIEKÓW TEMU LOS TYCH EGZOTYCZNYCH KRAJÓW ZALEŻAŁ OD ŚMIAŁYCH POSZUKIWACZY PRZYGÓD, KTÓRZY, STACZAJĄC ZE SOBĄ ZAŻARTE WALKI, KREŚLILI DZISIEJSZĄ MAPĘ ŚWIATA.

Na początku XVII-go wieku ujście Sekwany nie było jeszcze zamulone piaskiem, i w porcie Rouen gromadziły się wielkie okręty, przypływające z dalekich krajów. Z pośród roueńskich marynarzy największą sławą cieszył się Augustin Bolier, który liczył dopiero trzydzieści lat, ale zdążył już zwiedzić i dobrze poznać brzegi Ameryki, Afryki i Azji. Bolier pracował w potężnem wówczas „Towarzystwie Francuskich Indyj" i był naczelnikiem eskadry, złożonej z trzech okrętów: „Monmoranci", Esperance" i „Ermitage". Na morzach grasowali wtedy liczni korsarze i dlatego każdy z okrętów był dobrze uzbrojony: dwadzieścia pięć armat i stu pięćdziesięciu ludzi stanowiło załogę każdego okrętu. Jesienią 1619 roku eskadra Boliera wyruszyła na morze, mając za zadanie zwiedzenie Jawy, Sumatry, i Mallaki, zebranie tam bogatego ładunku pieprzu, i powrót z nim do Europy.

* * *

Eskadra szczęśliwie przybiła do przylądka Dobrej Nadziei. Tam Bolier, ku wielkiemu swemu zmartwieniu, dowiedział się, że stolica Jawy, Batawia, dostała się w ręce Holendrów, którzy oczywiście uczynią wszystko, aby przeszkodzić francuskim marynarzom w zdobyciu pieprzu, cenionego naówczas w Europie na wagę złota. Bolier wysłał kapitana Grevé, komendanta „Esperance'u" na Jawę, sam zaś zatrzymał się u brzegów Madagaskaru, chcąc nawiązać stosunki handlowe z tubylcami. Tubylcy sprawili na Francuzach bardzo miłe wrażenie, natomiast miejscowy kacyk nie wykazywał wielkiej chęci do handlu, a za sprzedane towary żądał wyłącznie „srebrnych łańcuchów". Ale skąd dostać tyle srebra, aby zadowolnić wszystkich murzynów skłonnych do przesadnej elegancji i mniemających widocznie, że biały metal jest najładniejszą ozdobą ich czarnej jak smoła skóry! Załodze, składającej się z kilkuset ludzi zagrażał głód, a dzikusy sobie nic z tego nie robili: dawaj srebrne łańcuchy, a otrzymasz tyle żywności, ile ci się tylko spodoba! Wtedy Bolierowi strzelił do głowy wspaniały pomysł: roztopił parę ołowianych talerzy i zrobił z nich dużo błyszczących i ładnych zabawek, na

które murzyni chciwie rzucili się, płacąc za nie mlekiem, jajkami, ptactwem i mięsem.

W wędrówce swej Bolier dotarł do brzegów Arabji. Stamtąd eskadra nie mogła ruszyć w dalszą podróż bez doświadczonego retmana, którykolwiek prowadził statek w tych niebezpiecznych okolicach. Wkrótce zjawił się arabski marynarz, ale wobec tego, że był on muzułmaninem, naczelnik eskadry nie chciał skorzystać z jego usług, tłumacząc to w dzienniku okrętowym w ten sposób: „Mogłoby to poważnie obrazić chrześcijańskiego Boga, a może nawet i muzułmańskiego". Świętobliwi marynarze płyną więc bez retmana, a po drodze „dla żartu" rabują handlowy okręt, którego kapitan zdążył jednak uciec łódką, zabierając wszystkie kosztowności. Kiedy marynarze wdrapali się na pokład zdobytego okrętu, znaleźli tam tylko kilku żebraków, wracających z Mekki do domu.

* * *

Wreszcie, otóż i legendarna Sumatra, bogata w pieprz. Miejscowość, do której przybili francuscy awanturnicy, nazywała się Tikao i znajdowała się pod władzą króla Amre. Król oddawna już prowadził handel z Europejczykami i potrafił zawsze wyciągnąć jak największe korzyści dla siebie. Bolier zmuszony był odkupić od króla cały zapas pieprzu, zapłacić zań bardzo drogo i zadowolnić się przyrzeczeniem, że zczasem Francuzi uzyskają królewskie pozwolenie na zakup i tańszego pieprzu, znajdującego się w posiadaniu poddanych sprytnego monarchy. Czas mijał, a pozwolenia jak niema tak niema! Tymczasem okazało się, że Amre zmieszał swój pieprz z czarnym piaskiem i zwilżył go wodą, by więcej ważył; wysoki ten dostojnik uciekał się również do innych kombinacyj: odkupywał cały zapas pieprzu od swych poddanych i sprzedawał go potem jako królewski. Cóż było robić? Skarżyć się? Ale to też kosztowałoby drogo, gdyż król udzielał audjencyj tylko tym, którzy składali mu bogate dary! Nie pozostało więc nic innego, jak uzbroić się w cierpliwość i spokojnie oczekiwać końca niesmacznej komedji.

Nareszcie Amre zlitował się i udzielił pozwolenia na handel we wszystkich swych posiadłościach; urządził na cześć dostojnych gości wspaniałą ucztę i pokazywał Bolierowi wspaniałe swe skarby i piękne żony. Pobyt Francuzów na Sumatrze trwał około roku; przez ten czas nauczyli się oni miejscowego języka, a kiedy Bolier zapytał króla, czy jest szczęśliwy, mając we władzy tak olbrzymie obszary i niezliczone bogactwa, ten przecząco potrząsł głową, i zapewnił, że zawsze drży o swe życie, w obawie przed nadwornymi urzędnikami i... własnemi żonami. Wobec tego, że straż nadworna dzieliła się na trzy zmiany i dyżurowała kolejno, król postanowił pozbyć się jej „w trzy raty". Zaprosił nawet Boliera do asystowania przy ceremonji ścinania głów królewskich dostojników, ale ten, drżąc o własną skórę, zrzekł się tego zaszczytu i czem prędzej odpłynął do Batawji.

Tam spotkał kapitana Grevé, który w międzyczasie napadnięty przez Holendrów, został pozbawiony całego ładunku, znajdującego się na „Esperance", a teraz umierał od febry. Okręt „Esperance" został spalony przez zazdrosnych Holendrów, dążących do opanowania całego handlu pieprzem. Bolier szybko naładował pozostałe dwa okręty miejscowemi towarami i porzucił niegościnną Batawję. Po drodze wpadł jednak w zasadzkę, urządzoną przez okręty holenderskiego departamentu kolonjalnego. Rozegrała się zażarta walka, ale przewaga była po stronie Holendrów i Francuzi zmuszeni byli szukać ratunku w ucieczce. Podczas walki stracili oni drugi swój okręt, „Ermitage", który wpadł w ręce wroga. Takie bowiem były ówczesne zwyczaje morskie; poszkodowanym nie przychodziło nawet do głowy wnosić skargę, bo i poco? Przecież zawsze postępowali w podobny sposób. A więc piękne za nadobne!

———



Po drodze świętobliwi marynarze obrabowali handlowy okręt.

W styczniu 1622 roku osierocony okręt „Monmoranci“, mocno zniczony przez burze i kule nieprzyjacielskie, znów dotarł do Tikao, gdzie dokonano niezbędnej naprawy. Tymczasem grasująca tu żółta febra pochłonęła śród załogi tyle ofiar, że do dyspozycji Boliera pozostało zaledwie 75 marynarzy, zamiast czterechset, którzy wraz z nim opuścili Europę w 1619 r. W drodze do przylądka Dobrej Nadziei Francuzi spotkali holenderski okręt, który zapomocą armatnich strzałów zawiadomił, że znajduje się w niebezpieczeństwie. Ucieszony Bolier pomknął czemprędzej do uszkodzonego okrętu, chcąc zawładnąć jego ładunkiem, aby w ten sposób powetować poprzednie straty. Ale do tonącego statku zbliżały się już trzy inne okręty, których załogi miały takie same „wspaniałomyślne“ zamiary. Po splądrowaniu „holendra“, zbawcy rzucili się w pogoń za Francuzami i ledwo nie owładnęli ich okrętem wpobliżu wyspy Świętej Heleny. Wszystkie te burze, trudy i niebezpieczeństwa nie przeszły bez śladu ani dla „Monmoranci“, ani dla jego załogi. W kadłubie okrętu pojawiły się niebezpieczne szpary, a ludzie nie wyłączając samego Boliera byli chorzy i niezdolni do dalszej pracy. Na szczęście, przylądek Zielony był już blisko;okręt udało się naprawić, a załogę wysłano do poratowania zdrowia do górzystych miejscowości. Dopiero po pewnym czasie garstce odważnych Francuzów udało się wrócić do ojczyzny i dnia 1 grudnia 1623 roku dopłynąć do miasta Rouenu. Miasto urządziło marynarzom uroczyste przyjęcie, a Ost-Indyjska Kompanja przy tej sposobności nie poszczędziła nagród. Podróż Boliera trwała trzy lata i dwa miesiące.

Bolier jest autorem bardzo ciekawych pamiętników, świetnie odtwarzających tę burzliwą epokę. Językiem kronik średniowiecznych, prostym, ale ujmującym czytelnika swą naiwną szczerością, opowiada jak z krzyżem w jednej ręce i z mieczem w drugiej walczył za przyszłe szczęście i potęgę ojczyzny.

Jedną kartkę z jego pamiętników podaliśmy naszym czytelnikom w tym artykule.

A. T.

WALKA Z OŚMIORNICĄ.

NAWET VICTOR HUGO W FASCYNUJĄCYM OPISIE WALKI CZŁOWIEKA Z OŚMIORNICĄ W „PRACOWNIKACH MORZA“ NIE DAŁ TAK PRZEJMUJĄCEGO ZGROZĄ OBRAZU, JAK TEN OPIS RZECZYWISTEJ WALKI, KTÓRA SIĘ ZDARZYŁA W MAJU 1927 ROKU W ZATOCE PUGET SOUND.

Jeszcze z czasów pierwszych łenickich marynarzy zachowały się opowiadania o spotkaniach człowieka z olbrzymiemi ośmiornicami. Lecz wszystkie te opowiadania wydają się blade w porównaniu z opisem walki, którą stoczył A. E. Hook, zawodowy nurek w porcie Townsend, w stanie Waszyngton Ameryki Północnej z gigantyczną ośmiornicą. Fakt ten, o którym dużo pisali w prasie amerykańskiej, miał miejsce w ostatnich dniach maja 1927 roku. Śmiały nurek zaatakował potwora w jego własnych posiadłościach, na dnie morza, i zabił go po straszliwej walce, która trwała *przeszło godzinę*.

Walka toczyła się na tak wielkiej głębokości, że trzech ludzi, którzy na statku towarzyszyli Hookowi i uważnie śledzili każdy sygnał, podawany przez nurka zapomocą specjalnego sznura, — nie wiedzieli nic o tragedji, rozgrywającej się w głębi oceanu, zanim nurek dał znak, aby go wyciągnięto na powierzchnię.

Gdy nurek ukazał się na powierzchni, zauważono, że jedna odcięta macka potwora, długości 5 metrów, owinęła się naokoło lewej nogi śmiałka; druga macka, długości 3 metry przylgnęła do ciała nurka, ściskając pierś jego niby żelazną obręczą. Zmierzywszy te kawałki ciała ośmiornicy, zoologowie Waszyngtońskiego Uniwersytetu ustalili, że macki potwora „w naturalnym stanie“ musiały mieć długość 6 metrów; ciało zaś, według opisów Hooka i ekspertyzy uczonych miało szerokość 3 mtr., o oczach wielkości talerza i mocnym rogowym dziobie, długim na pół metra. Krótko mówiąc, przeciwnikiem nurka w tej walce była największa ośmiornica, dotychczas widziana przez człowieka. Nurek tak zmasakrował potwora podczas walki, że prócz dwóch odciętych macek nie wiele pozostało z olbrzymiego cielska. Przyssawki na tych potężnych mackach dochodziły wielkości dobrej podstawki.

Hook opuścił się pod wodę na głębokość 30 metrów w zatoce Puget Sound, aby naprawić drewniane zabudowania podwodne. Wobec niskiej temperatury wody, Hook włożył całkowity ubiór nurka, zamiast lekkiego hełmu, jaki zwykł był nakładać przy podobnej pracy. Hook miał przy sobie specjalną latarkę elektryczną, oraz t. zw. „peavey“, — rodzaj długiego dzirytu o długiej dębowej rękojeści i stalowem ostrzu, długości 30 cent. Jest to zwykłe narzędzie nurków, którego używają jako łomu dla przewracania ciężkich kamieni i jednocześnie jako siekiery do rąbania nadgniłego drzewa.

Hook liczył na to, że będzie miał dużo roboty z usuwaniem nadpsutych drewnianych części, i dlatego poświęcił cały poprzedni wieczór na ostrzenie swego oręża, którego klingę udało mu się wyostrzyć jak brzytwę. Tej okoliczności, jak również swemu mocnemu ubiorowi z grubej gumy, śmiały nurek zawdzięcza życie.

Zanurzywszy się w wodę, Hook z łatwością spuścił się na dno zatoki, przymocował elektryczną latatarkę do jakiegoś słupka, sprawdził prawidłowość działania rur hełmu oraz sygnałowego sznura, i wziął się do roboty. Teraz posłuchajmy, jak dzielny nurek sam opowiada swą przygodę.

„Wyciągnąłem rękę ku sygnałowemu sznurowi, aby zawiadomić ludzi na statku, że mogą już spuszczać słup z przymocowanym doń ciężarem, który miałem osadzić na miejsce usuniętego powoli... głowa topielca, o szeroko otwartych zastygłych oczach; rozpostarte ręce i nogi topielca kołysały się miarowo w wodzie. To co w pierwszej chwili przyjąłem za brzuch ryby, oka-



Cała klinga zanurzyła sie w ciało ośmiornicy.

przeze mnie nadgniłego kawałka. Wtem, w mglistym mroku, który panował poza granicami obwodu oświetlonego moją latarką, dostrzegłem jakiś biały przedmiot o niewyraźnych kształtach, który posuwał się ku mnie dziwnym falistym ruchem.

Z początku pomyślałem, że jest to biały brzuch „płastugi olbrzyma" i zamiast sygnalizować na górę, żeby spuszczono słupek, chwyciłem oszczep z zamiarem upolowania tej ryby.

Jakież było moje zdziwienie i nawet przerażenie, gdy ujrzałem, jak z niewyraźnej białej plamy wyłania się zało się długim białym fartuchem, zwisającym z pleców zmarłego.

Przerażony i przejęty zgrozą sięgnąłem po sygnałowy sznur, gdy wnet nad ciałem topielca ukazał się ogromny, szary, podobny do balonu, potwór z olbrzymiemi wybałuszonemi oczami i dziobem, przypominającym dziób jakiegoś gigantycznego orła. Natychmiast poznałem ośmiornicę, czyli „djabelską rybę"; ale ten egzemplarz był przynajmniej trzy razy większy od wszystkich ośmiornic, które widziałem podczas pracy w zatoce Queen Charlotte, gdzie spotykałem wiele tych

stworzeń, niekiedy dość pokaźnych rozmiarów.

Spokojnie „krocząc“ w wodzie na czterech mackach, potwór wyciągnął przed siebie dwie ogromne łapy; w dwóch dolnych mackach ośmiornica trzymała ciało topielca, tak jak żóraw portowy podtrzymuje bryłę żelaza. Nie wstydzę się przyznać, że się zlękłem: struchlałem poprostu.

Ale wnet przyszła mi do głowy myśl, jakie to będzie wstrętne, kiedy ten ohydny potwór zacznie pożerać swą zdobycz — człowieka! Trwało to tylko sekundę: odrazu odzyskałem zimną krew. Postanowiłem nie cofać się, lecz zabić potwora i odebrać mu ciało.

Mój oszczep był wspaniałym orężem, lekkim pod wodą dzięki drewnianemu drzewcu, ale zaopatrzonym w ciężkie stalowe ostrze. Ostry jak brzytwa, oszczep ten miał mi posłużyć lepiej niż lanca lub harpun, albowiem mogłem nim nietylko kłuć lecz również rąbać jak siekierą.

Zdaje się, ośmiornica nie zauważyła mnie, dopóki nie wystąpiłem z podwodnych ciemności w obwód, oświetlony elektryczną lampą. Prawdopodobnie niezwykłe to światło zwabiło „djabelską rybę“, która kierowała się ze zdobyczą do swego barłogu. Tak czy inaczej, ośmiornica wciąż posuwała się naprzód, póki jej macka, wyciągnięta na całą długość, nie znalazła się nad moją głową a ciało potwora o 12 metrów ode mnie.

Starzy nurkowie radzili mi, bym w razie napadu ośmiornicy ciął przedewszystkiem jej macki uderzeniami ostrego noża, który każdy nurek zawsze nosi przy sobie w obronie przed rekinami. Nie zastosowałem się jednak do tej zasady, i posuwając się naprzód z całą szybkością, na którą pozwalały ciężkie, podszyte ołowiem buty, uderzyłem z całej mocy wprost w ohydną twarz potwora.

Nie obliczyłem dobrze mego ciosu i dlatego trafiłem w jedną z macek, która trzymała ciało zmarłego, oddzielając ją zupełnie od ciała „djabelskiej ryby“. Przypominam sobie, że ta macka nie wypuściła swej zdobyczy, lecz nadal wiła się w wodzie, jak żmija. Zanim zdążyłem zamierzyć się po raz drugi, jedna z łap potwora, posuwając się po dnie zatoki schwyciła mą lewą nogę. Stawiałem opór ile sił — przecież ważę przeszło 85 kg. i jestem silnym człowiekiem — lecz w wypadku tym byłem podobny do dziecka, które walczy z trąbą słonia. Żelazne pierścienie jeden po drugim owijały mą nogę; potwór ciągnął mnie z olbrzymią siłą. Tylko grubości mego ubioru, zrobionego z twardej gumy, zawdzięczam ocalenie nogi, która inaczej byłaby niewątpliwie złamana.

Stopniowo macka pięła się coraz wyżej, sięgając prawie biodra. Wszystko to odbyło się z taką błyskawiczną szybkością, że zdążyłem jeszcze raz tylko uderzyć oszczepem po łapie ośmiornicy, lecz i tym razem chybiłem. Wtedy długa macka, podobna do olbrzymiej żmiji, opuściła się na mnie z góry, usiłując złapać mą prawą rękę lub oszczep. Jednocześnie woda stała się czarna jak atrament. „Djabelska ryba“ wyrzuciła cały swój zapas czarnego „obronnego płynu“, tak że nawet moja silna elektryczna latarka nie mogła rozświetlić ciemności.

Wymachiwałem naoślep oszczepem przed sobą i ponad hełmem, i przypadkowo ugodziłem w łapę, która opuszczała się ku mnie. Ostra klinga przecięła mackę: ujrzałem cień jakgdyby ogromnej wijącej się żmiji, który oddzielił się od ciała ośmiornicy i opuścił się na dno. W międzyczasie, wymachując oszczepem, wzburzyłem spokojną wodę i dzięki temu rozwiała się czarna zasłona płynu, wyrzuconego przez potwora. Wówczas ujrzałem straszne nieruchome oczy i groźny dziób tuż przy sobie.

Wtedy zamierzyłem się i z całej siły uderzyłem potwora oszczepem poniżej dzioba. Był to piękny cios! Cała klinga zanurzyła się w ciało ośmiornicy. Chwyciwszy obiema rękoma drzewce szarpałem i rznąłem oszczepem jak szalony. Nagle górna połowa

ciała ośmiornicy z częścią dzioba i strasznemi nieruchomemi oczyma pochyliła się i zaczęła spadać wdół i wtył. Moje uderzenie przecięło potwora na pół! Lecz walka nie była jeszcze skończona. Z góry spuściła się macka, zdaje się dłuższa od innych, i zanim zdążyłem uderzyć, owinęła się naokoło mej lewej ręki, podczas gdy wijący się jej koniec popełznął mi po piersi i zaczął mnie dusić...

Gdyby nie mój ubiór nurka, zginąłbym natychmiast, bo mocny chwyt tysiąca przyssawek zerwałby mi poprostu mięso z kości. Wtedy, chwyciwszy za drzewce koło samej klingi uderzyłem na chybił trafił między mą lewą ręką i tułowiem. Szczęście sprzyjało mi: odciąłem mackę, ściskającą mą lewą rękę. Odcięty kawałek gniótł jeszcze me ramię, ale teraz mogłem już trzymać oszczep obiema rękoma, a pierś moja oswobodziła się ze śmiertelnego uścisku, chociaż potem trzeba było wysiłków trzech ludzi, aby oderwać od mego ciała straszliwe przyssawki, które prawie wżarły się w moje ciało.

Teraz byłem już pewny siebie i podczas gdy ciąłem oszczepem po bezkształtnej masie wijących się macek potwora, uważałem by nie odrąbać tej łapy, która trzymała ciało topielca. Inaczej prąd morski poniósłby je dalej i zostałoby ono na zawsze stracone.

Wkrótce udało mi się odciąć jeszcze jedną łapę. Wtedy zacząłem rąbać po macce, trzymającej mą lewą nogę. Chociaż ta łapa nie ciągnęła mnie już naprzód, bo z „djabelskiej ryby“ pozostały tylko nędzne szczątki, jednak boleśnie odczuwałem jej żelazny chwyt, od którego uwolnili mnie dopiero marynarze na okręcie.

Nareszcie byłem wolny. Jedna macka ośmiornicy drgając czepiała się dna, część drugiej była owinięta naokoło mego ciała, a trzecia trzymała w kurczowym uścisku ciało topielca. Na nowo zaatakowałem potwora, i odciąłem mu wprzód wolną mackę, potem tę, która wiła się na dnie i wreszcie trzecią, trzymającą ciało. Potem nie bez wysiłku podciągnąłem trupa do jednego z pali i tam go przywiązałem.

Z uczuciem niewysłowionej ulgi dałem sygnał by mnie wyciągnięto z wody. Na pokładzie statku ujrzałem jednego z pomocników, który już był nałożył ubiór nurka i zamierzał spuścić się do wody aby zobaczyć, co się ze mną stało.

„Dlaczego panowie nie sygnalizowali?“ spytałem.

„Robiliśmy to kilka razy“, odpowiedział pomocnik, „ale nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi“.

Widocznie pochłonięty walką nie zwróciłem uwagi na drgania sznura, albo przyjąłem sygnały pomocników za uderzenia macek potwora.

Marynarze byli przerażeni, gdym opowiedział im o walce; zdumienie ich nie miało jednak granic, gdy zaczęli odrywać od mego ciała kawałki macek i przekonali się, że tylko zjednoczone wysiłki trzech mężczyzn mogą podołać zadaniu. Śliskie „ręce“, rzucone na pokład, nadal zwijały się jak olbrzymie węże.

Po godzinnym wypoczynku na nowo spuściłem się pod wodę i wydobyłem na powierzchnię ciało topielca. Gdy przy świetle dziennem zajrzałem w twarz nieboszczyka, krzyknąłem ze zdumienia. Poznałem bowiem starego przyjaciela — Henry Healey'a, lekarza ze statku Warren, który tydzień temu zatonął wraz z całą załogą w cieśninie Juan de Fuka. Widocznie w chwili zatonięcia statku, lekarz był zajęty pracą, i dlatego miał na sobie długi biały fartuch. Ten właśnie fartuch, jak już wyżej powiedziałem, był tą białą plamą, która skierowała mą uwagę na ośmiornicę.

Tłum. z angielskiego

Old Man.

W dżunglach Afryki.

DZIEJE ANGIELSKIEJ EKSPEDYCJI KINEMATOGRAFICZNEJ.

Z pośród wielu wypraw naukowo-geograficznych w głąb Afryki na szczególną uwagę zasługuje ostatnia ekspedycja małżonków Johnson. Nieustraszeni podróżnicy, wytrwali w swem zadaniu i pełni poświęcenia, przebyli państwo Johnson 4 lata niebywałych trudów w głębi niezbadanych obszarów, zdala od najprymitywniejszych siedzib ludzkich, pozostawieni na łaskę swoich... wielbłądów i przyrządów mierniczych. Z pośród licznych epizodów tej wyprawy zacytujemy najciekawsze.



M. George Eastman, miljoner amerykański, mimo swoich 72 lat, nie zawahał się wziąć udział w wyprawie.

* * *

W ciągu naszej podróży posługiwaliśmy się najrozmaitszemi środkami lokomocji. Z początku był to pociąg, o tyle tylko zasługujący na uwagę, że budowa tej linji żelaznej bywała niekiedy urozmaicana napadami lwów, — przyjemnością, której pozbawieni są robotnicy kontynentalni. Lecz tor kolejowy nie wszędzie nas zaprowadzi! i wkrótce zmuszeni byliśmy szukać innych sposobów lokomocji. Znaleźliśmy się bowiem na niezmiernych równinach pustynnych, gdzie użytkowanie najbardziej udoskonalonych automobilów, dla których woda i piasek nieznaczną tylko stanowią przeszkodę, stało się niemożliwe. Dla przebycia tych równin niewdzięcznych, natura zbudowała stworzenie tak doskonale przystosowane, którego nauce ludzkiej nie udało się dotychczas zastąpić. Przywiezione z Sudanu lub z Abisynji, znajdą dromadery i tutaj pole dla wykazania swych cudownych zalet — wytrwałości i cierpliwości. Ich zrzędliwy charakter, który się nie zmienia pod wpływem warunków i przejawia się w zbiorowych ekscentrycznych buntach, nie przeszkadza im stale iść naprzód mimo oznak niezadowolenia, jakie często objawiają wobec swych panów. Jeśli wielbłąd staje w marszu jest to nieomylną oznaką śmiertelnego zmęczenia, a jego szkielet, oczyszczony z ciała przez sępy — grabarzy pustyni, wskaże niebawem miejsce, gdzie się zatrzymał ostatni raz w życiu.

Wreszcie nadchodzi chwila, gdy gęste, ostre krzewy i nieprzebyte wprost lasy tamują każdy krok zwierzęcia

i powodują, że człowiek sam na siebie liczyć tylko może. Życie tutaj, w epoce radja i samolotów, nie wiele różni się od twardego bytu pierwotnych pionerów—kolonizatorów Afryki.

I oto w takich warunkach zatrzymała się ekspedycja w kraju Lumbwa, na wschód od zatoki Kawiwado (okolica jeziora Wiktorja), aby w tem pustkowiu przystąpić do studjów nad życiem świata zwierzęcego. Środkami ku temu musiały być polowania i fotografja zwykła oraz kinematograficzna.

Ale nie zapominajmy, że dla tego rodzaju metody należy mieć możność podchodzenia zwierzyny, nieraz bardzo czujnej i trwożliwej, na odległość bliższą jeszcze niż strzału. Wiele środków jest do dyspozycji podróżnika... Najprostszym zaś ze wszystkich—umiejętne wykorzystanie przejścia zwierzęcia lub znalezienie go w legowisku, gdy odpoczywa po trudach polowania lub trawi swój pokarm roślinny.

Lecz takie okazje są rzadkie i tak krótkotrwałe, że chwila ta, uwieczniona na kliszy, nie daje nam szczegółów charakterystycznych, o które nam chodzi. Użyjemy więc t. zw. tele-objektywu. Jest to, w ogólnym zarysie, lupa silnie powiększająca, przymocowana do aparatu fotograficznego, która przedmiot oddalony o kilkaset metrów pozwala spostrzegać tuż obok siebie. Lecz i przy tem zawieść mogą wszelkie ostrożności, gdyż słuch i węch zwierząt sięgają nieraz dalej niż zdolności spostrzegawcze naszych instrumentów. W każdym razie tym jedynie sposobem możemy obserwować zwierzęta w ich życiu, że się tak wyrazimy, „intymnem".

Dla zwierząt nocnych użyjemy specjalnej pułapki. W tym celu przynęta zostaje połączona drutami z aparatem fotograficznym oraz instrumentami do nagłego oświetlenia, np. lampami magnezjowemi. Wszystko zostaje umieszczone w miejscu uczęszczanem przez zwierzęta, wpobliżu źródła.

Człowiek teraz znika ze sceny, zacierając za sobą starannie ślady swego pobytu, i zjawia się nazajutrz, aby skontrolować wynik swej pracy. Odgadujemy już co stanie się w czasie jego nieobecności. Włóczęga nocny, znęcony spodziewaną zdobyczą i czując się bezpieczny, zbliży się do niej, ale w tej chwili potknie się o druty, zapali automatycznie lampy i... sfotografuje się sam. Zbyteczne chyba jest dodawać, że zrezygnuje ze zbyt łatwego kąska i objektyw zdąży jeszcze utrwalić trwożliwą jego postawę i początek szybkiej ucieczki.

Metoda powyższa pozwala obserwować jak szybko poszczególne gatunki zwierząt reagują na nagłe, niespodziewane niebezpieczeństwo. Ogólnie biorąc, roślinożercze, a w szczególności zwinne i trwożliwe gazele, zdają sobie najprędzej sprawę z grożącego niebezpieczeństwa. Ale występują również wybitne różnice między osobnikami tego samego gatunku. Tak naprzykład na jednem zdjęciu pantera zachowała postawę pełną spokoju, podczas gdy na drugiem uchwycił ją ob-



Pani Johnson udało się upolować dość niezwykłego „wierzchowca".



Wspaniały okaz antylopy, złapanej żywcem u źródła.

jektyw w chwili szalonej ucieczki. Nierzadko można było zaobserwować równocześnie obydwie postawy, gdy sfotografowane zostało stado, skradające się do źródła. Te fakty świadczą dobitnie o znaczeniu naukowem podobnych zdjęć.

Tego rodzaju podstępy powoliły małżonkom Johnson zebrać przebogatą kolekcję fotografij i filmów, jedyną być może na świecie. W ciągu czterech lat pobytu w pustyni, odcięci całkowicie od cywilizacji, w miejscu odległem od najbliższego punku zamieszkałego o blisko 6 tygodni marszu, rzadko odbierali wizyty swoich współplemienników.

„Zdarza się nader często" — pisał w pamiętniku p. Johnson — „przyjmować na naszym dworze odwiedziny słoni, które przybywają kraść ziemniaki... a nocą słychać ryki, krążących nieopodal lwów".

W podobnych warunkach okazje do fotografowania są częste, tem bardziej, że niezwykli „sąsiedzi" przyzwyczaili się wreszcie do tych dwunożnych stworzeń, które nie napastują nikogo, nie teroryzują kraju ni ogniem, ni mieczem, a zabijają tylko w obronie własnego życia.

Jak to zaznaczyliśmy wyżej, strzelcy nasi zainstalowali się w pobliżu źródła, miejsca, do którego przybywać muszą wszyscy mieszkańcy dżungli. Wcześniej czy później, najmniej trwożliwe czy najbardziej czujne, pozwoliły się uchwycić oku naszego objektywu.

Nie wszystkie zwierzęta zaspokajają swe pragnienie jednocześnie. Obserwacja ich zwyczajów i życia okazuje, że każdy gatunek przeznacza na to ściśle określone godziny doby; jedni ufni w potęgę swych kłów i mięśni przybywają wcześniej, inni przez ostrożność później, by uniknąć „nieprzyjemnego" dla się spotkania.

Dla doświadczonych tubylców ta regularna zmiana zwierząt u źródła odgrywa rolę... zegara, według którego myśliwy umie dość ściśle określać czas.

* * *

Te kilka interesujących szczegółów z podróży Johnsonów, wystarczy chyba w zupełności dla charakterystyki ich wyprawy. Z pośród wielu filmów z dziedziny naukowo-geograficznej, jakie zdarzyło nam się widzieć na ekranach polskich, ten chyba, jeśli się u nas ukaże, będzie bezwątpienia najciekawszy.

B. Peters.

ZEMSTA NIEBOSZCZYKA.

LEGENDA INDYJSKA.

Napisał ANDRZEJ BRZOZOWSKI.

Apoika, młody wódz i chluba Komanczów, wpadł wraz z kilkoma wojownikami w ręcę tchórzliwych Seminołów. Manoika, wódz Seminołów, zamknął jeńców w więzieniu, gdzie mieli przebywać aż do czasu wielkiego „święta słońca“. W tym dniu jeńcy zostaną przywiązani do pala męczarni, i biada nieszczęśliwemu, który wyda okrzyk bólu; zastosuje się wtedy najokrutniejsze tortury, aby kobiety i dzieci mogły rozkoszować się jękami tchórzliwego wojownika. Ale Apoika jest najbardziej silny, zdrowy, wytrzymały, dumny i odważny z pośród Indjan. Jest pewny, że nietylko nie wyda jęku, cokolwiek z nim zrobią, ale nawet nie poruszy brwią, aby nie dostarczyć zadowolenia zwycięzcom. Przywoła do pomocy wszystkie siły ducha i ciała, i mimo wszystkie tortury, pozostanie żywy. Znów go zamkną, aby morzyć głodem, i potem bezsilnego poddać nowym mękom, ale i to nie pomoże tchórzliwym kujotom: dumny Apoika odzyska wolność, wróci do swego plemienia, do kraju wodospadów, i w piękny słoneczny dzień znów zjawi się tutaj, otoczony walecznymi wojownikami, i wtedy pomści swą hańbę.

W międzyczasie, gdy jeniec marzył o wolności, do chaty, w której był uwięziony i której pilnowały cztery półdzikie psy, podkradła się przepiękna Sakwinama, córka starego Manoiki, i rzuciła Apoice przez szparę w ścianie żywność, zawiniętą w liście bananowe. Psy nie szczekały, gdyż dobrze znały uroczą córę wodza. Powtarzało się to co noc. Jeniec był syty, a wizje przyszłej wolności i zemsty pokrzepiały jego siły.

Rano, gdy drzwi chaty otwierano dla przewietrzenia izby, jeniec widział, jak obok więzienia, tam i zpowrotem przechadza się Kamililja, młoda żona starego Manoiki, za którego wyszła tylko poto, aby mieć niewolników, żyć w najładniejszej chacie, ubierać się w bogate i ładne szaty, ozdabiać ręce i nogi ciężkiemi miedzianemi bransoletami, szyję—naszyjnikami z dużych kamieni, uszy — drogiemi kolczykami, a palce — miedzianemi pierścionkami z różnobarwnemi szkiełkami. Kamililja nienawidziła Sakwinamy za jej piękność i wesołe usposobienie, dzięki którym podbijała ona serca wszystkich młodych wojowników.

Ktoś podpatrzył, że Sakwinama co noc udaje się do uwięzionego wodza, i doniósł o tem Kamililji. Młoda kobieta domyśliła się odrazu w jakim celu udaje się tam pasierbica, ale nic nie powiedziała mężowi, nie dała również poznać po sobie Sakwinamie, że wie cośniecoś o nocnych jej spacerach. Sama bowiem pokochała młodego wodza Komanczów, i przechodząc obok jego chaty, rzucała mu płomienne spojrzenia. Ale Apoika na widok Kamililji chmurzył się i dumnie odwracał się od niej. Pewnego razu młoda kobieta zdołała szepnąć jeńcowi:

— Piękny wodzu Komanczów, jeśli zgodzisz się wziąć mnie za żonę, pomogę ci tej jeszcze nocy w odzyskaniu wolności...

Ale Apoika odwrócił się.

— Zgadzasz się?—pytała Kamililja.

Apoika milczał.

— Dobrze! — wycedziła Kamililja przez zaciśnięte zęby, — pożałujesz swego uporu, ale będzie już za późno!

I oddaliła się, pełna wściekłości i nienawiści.

Przed wschodem słońca, w dniu, w którym miano przywiązać jeńców do pala męczarni, Apoika postanowił udać martwego: wtedy według zwyczaju wrzucą go do rzeki i będzie ocalony. Znał on prastarą tajemnicę swego plemienia, tajemnicę „żywych nieboszczyków", i chciał ją wykorzystać.

I oto, kiedy straż przyszła po jeńców, Apoikę znaleziono martwego. Wojownicy jego głośno opłakiwali śmierć ukochanego wodza, a ciekawa wiadomość, przechodząc z ust do ust, szybko dotarła do starego Manoiki.

— Czy naprawdę umarł? — zwątpił stary wódz, śpieszący na miejsce wypadku. — Uszczypnijcie go porządnie, zbijcie go dobrze, może wtedy i ożyje!

Apoikę trzęśli, bili, szczypali, toczyli po ziemi, ciągnęli za ręce i nogi, ale ciało wodza zostało nieruchome, zimne i stężałe.

— Tak, rzeczywiście umarł—orzekł wreszcie Manoika. — Rzucić go na pożarcie rybom! — dodał stary wódz i odwrócił się z pogardą.

Wojownicy podnieśli trupa i skierowali się do rzeki.

— Stójcie! Stójcie! — rozległ się nagle przenikliwy głos kobiety.

Wojownicy zatrzymali się. Nieogarnięta, z rozpuszczonemi włosami, ze skrzywioną twarzą i złowrogo błyszczącemi oczami, przepchała się Kamililja przez zwartą masę tłumu do nieboszczyka i nachyliła się nad ciałem.

Przez kilka chwil młoda kobieta pilnie przyglądała się twarzy zmarłego, a potem dumnie wyprostowała się i krzyknęła:

— Ten pies nie umarł! Udaje tylko, aby uciec... Weźcie go na męki, a zobaczycie, jak mu się język rozwiąże!

To mówiąc schwyciła z najbliższego stosu płonącą głownię i rzuciła ją na obnażoną pierś zmarłego. Skóra zaczerwieniła się, potem sczerniała i pękła, ale Komancz wciąż leżał nieruchomo. Kamililja znów nachyliła się nad nim i przyłożyła czujne ucho do jego warg, potem do serca, ale nie mogła uchwycić ani cienia oddechu, ani nawet najsłabszych oznak życia.

— Przeklęty Komancz jest zaczarowany od ognia! — zawołała młoda kobieta. — Dajcie żmiję. Może ona potrafi ożywić tchórzliwego kujota!

Stara czarownica, cała zgarbiona i trzęsąca się, przyniosła plecionkę z małą jadowitą gadziną. Wyjąwszy żmiję z klatki, starucha przyłożyła ją do nieruchomego ciała Apoiki. Żmija lekko dotknęła żądłem ciała, potem spokojnie owinęła się dokoła szyi zmarłego, jakby szykując się do snu.

— Ten szakal jest zaczarowany i od żmij! — zawołała Kamililja. — Wsadzić mu kolce pod paznokcie!

Dwaj wojownicy natychmiast przynieśli kilka długich i ostrych kolców i poczęli wbijać odrazu po kilka sztuk pod paznokcie wszystkich palców rąk i nóg Apoiki. Kolce weszły już do połowy, ale z pod paznokci nie pokazała się ani jedna kropla krwi.

Tymczasem nadeszła Sakwinama. Według zwyczaju była zupełnie naga, utatuowana świątecznie kolorami jaskrawo-czerwonym i niebieskim, cała obwieszona bransoletami, miedzianemi łańcuszkami, pierścieniami, i ozdobiona kwiatami.

— Otóż i piękna nasza córka! — zauważyła z cierpkim uśmiechem Kamililja. — Niech ona zatańczy przed tym zaczarowanym Komanczem, może poruszy go piękność i sztuka najładniejszej Seminolki.

Na znak wodza tłum rozstąpił się i oczyścił miejsce dla muzykantów i Sakwinamy. Zagrzmiały bębny, zapiszczały fujarki, zadzwoniły cymbałki, i Sakwinama powoli poruszyła się ze strony w stronę pod takt muzyki. Tempo muzyki ciągle potęgowało się, ruchy młodej Indjanki stawały się coraz szybsze i szybsze; wreszcie, gdy wszystkie dźwięki zlały się w jeden dziki chaos, ona zakręciła się z taką szybkością, że z ledwością można było rozpoznać jej figurę. Ale, nie bacząc na tak szybkie ruchy, zdołała ona z pod opuszczonych rzęs uchwycić zachwycony, szybki, jak błyskawica, wzrok pseudonieboszczyka. Dla niej było to wystarczające, aby wszystko zrozumieć i ułożyć plan działania.

Wtem światło słońca powoli zaczęło blednąć, jakaś powłoka przykrywała słońce, chociaż na niebie nie było ani jednej chmury. Zapanowała przytłaczająca cisza. Nastąpiło pełne zaćmienie słońca. Sakwinama wiedziała o tem zjawisku od jednego wojownika, który miał stosunki z białymi, ale, prócz córki wodza, którą adorował, nikomu nie zdradził tej tajemnicy. Młoda dziewczyna chciała teraz wyzyskać przerażenie swych rodaków. Zbliżywszy się do ojca, wyciągnęła ręce ku mrocznemu sklepieniu nieba i zawołała:

— Spójrz, ojcze, Wielki Duch zakrywa swe oblicze, aby nie widzieć twej zdrodni. Nie wolno przerywać pokoju zmarłym. Poleć twoim kobietom, aby przygotowały ciało zmarłego do uroczystego pogrzebu, jaki należy się wodzowi Komanczów.

— Nigdy to się nie stanie! — zawołał stary wódz, — przeklęty Komancz nie wart pogrzebania. Rzucić go do rzeki! — zwrócił się do wojowników, otaczających go w ponurem milczeniu. — Od tego trzeba było zacząć, — mrukliwie dodał.

Wojownicy schwycili ciało Apoiki i, nie zwracając uwagi na protesty Sakwinamy i Kamililji, rozhuśtali je i wrzucili do rzeki.

Po kilku chwilach słońce znów zajaśniało. Widocznie, Wielki Duch nie gniewał się z powodu niepogrzebania wodza Komanczów.

* * *



Mężczyźni udali się na „wielką naradę"...

Zapadła noc. Las zasnął. Liście i trawy drżą w tajemniczej męce. Słychać złowieszczy syk pełznących żmij. Nocne małpy rzucają do się dojrzałe owoce, huśtają się na gałęziach i śmieją się. Gdzieś woddali przeciągle wyją czerwone wilki.

Nad oświetlonemi księżycem falami, ukazała się wpierw głowa, potem plecy, następnie cały człowiek wyszedł z wody i wdrapał się na skałę. To — Apoika. Cały dzień ukrywał się w puszczy, a w nocy cicho, bezszelestnie, jak cień, przepłynął pod wodą do brzegu. Usiadłszy na ziemi, powoli począł wyrywać kolce z pod paznokci, i krew jasnym strumieniem zalała mech, pokrywający dzikie kamienie. Nie wy-

rzucał tych narzędzi tortur, lecz starannie chował je za szeroki pas.

Wieś Seminołów otacza z dwóch stron las. Apoika udaje się do tego lasu, pilnie natężając słuch i wzrok. Stwierdza, że we wsi panuje grobowa cisza. Święto skończyło się widocznie, i wszyscy mężczyźni udali się na „wielką naradę“, gdzie teraz siedzą przy ognisku i, paląc fajki, słuchają przemówień najstarszych wojowników plemienia. Apoika wydaje przeciągły gwizd „maskililejów“, t. zn. duchów ludzi, którzy umarli nagłą śmiercią. Kto spotka się z takim duchem, musi umrzeć, gdyż „maskililej“ uniesie go i wyssie zeń krew.

Sakwinama usłyszała ten gwizd i domyśliła się, kto go wydał. Młodą dziewczyna wybiegła na polankę. Tam spotkała Apoikę.

— Co się dzieje z moimi wojownikami? — szepnął, uścisnąwszy jej dłoń.

— Jeden umarł, pozostali odważnie przenieśli tortury i siedzą teraz w namiocie, gdzie przedtem byli, — odrzekła.

— Musimy ich zwolnić.

I razem ruszyli do wsi. Wkrótce wojownicy byli wolni.

— Chcesz być moją żoną? — zapytał Apoika, mocno ściskając dłoń dziewczyny.

— Tak, — odrzekła radośnie.

— Dobrze. Ale wiedz, że przedtem muszę pomścić krzywdę moją i moich wojowników.

— Pomścij. Będą czekała na ciebie pod dużym dębem.

Apoika i jego wojownicy skradając się bezszelestnie, jak wilki, podpełzają do namiotu wodza. Starego Manoiki niema: siedzi wśród mężczyzn plemienia i pali fajkę, nie podejrzewając o zmartwychwstanie swego wroga. W namiocie wodza pozostała tylko Kamililja, która siedzi zadumana przy ognisku. Wojownicy rzucają się na nią, wiążą jej ręce i zanoszą do lasu. Tam przywiązują ją do drzewa i przypalają delikatne jej ciało ogniem. Żona wodza nie krzyczy, nie stęka, najmniejszym ruchem nie ujawnia swych cierpień. Nie chce ustąpić Apoice w odwadze. Wtedy Komancze wbijają jej pod paznokcie te same kolce, któremi na jej rozkaz męczono Apoikę. Kamililja robi gwałtowny ruch i zwraca się do Apoiki:

— Tak cię kochałam... Chciałam być twoją żoną... Zazdrość zaprowadziła mnie na manowce... Apoika, Apoika, tak cię kocham... Zabij mnie! Nie chcę żyć bez ciebie!

— Zamilknij, żmijo! — przerwał jej wódz Komanczów i podniósł tomahawk.

Nagle delikatna ale silna ręka Sakwinamy schwyciła go za ramię.

— Nie zabijaj! — krzyknęła i oczy jej błysnęły złowrogo. — Wypuść ją na wolność! Stokroć gorsze od śmierci będzie dla niej wspomnienie wzgardzonej miłości i myśl, że jestem szczęśliwa z tobą...

Na znak wodza jeden z wojowników podszedł i przeciął sznury, wiążące ręce Kamililji. Lecz w tym momencie dumna Indjanka wyrwała mu nóż z rąk i pchnęła go tak silnie, że wojownik upadł na ziemię.

— Nie chcę zawdzięczać ci życie, ty chytra żmijo! — zawołała. — Wielki Duchu, pomścij mą śmierć.

I błyskawicznym ruchem wbiła nóż w swą pierś. Przerażeni Komancze, zdjęci zgrozą, przez chwilę stali nieruchomo. Potem zawrócili i szybko zniknęli w głębi lasu, uciekając przed Wielkim Duchem — mścicielem, który zawsze zjawia się na wołanie człowieka, umierającego w obronie swego honoru.

Jaką szkołę będziemy mieli w Polsce?

DROGA DO GIMNAZJUM PROWADZI PRZEZ SZKOŁĘ POWSZECHNĄ.

Reformy dzisiejszego ustroju szkolnictwa polskiego domaga się całe społeczeństwo polskie. Rząd Rzeczypospolitej postanowił reformę tę przeprowadzić i w sierpniu 1927 r. komisja, powołana przez Pana Ministra W. R. i O. P. doktora Gustawa Dobruckiego projekt reformy opracowała. Obecnie toczy się spór zarówno śród nauczycielstwa, jak i organizacyj społecznych, żywo zajmujących się tem palącem zagadnieniem, co do charakteru i treści tej reformy. Redakcja „M. P." nie zajmując się oceną tej ustawy, chce zapoznać czytelników z najważniejszemi zmianami, które ma wprowadzić zamierzona reforma do obecnego ustroju szkolnictwa polskiego[1]).

Według nowego projektu wszystkie szkoły i zakłady wychowawcze dzielą się na cztery grupy:

I — zakłady wychowania przedszkolnego;
II — szkoły powszechne;
III — a) szkoły i kursy dokształcające,
b) szkoły średnie ogólnokształcące,
c) szkoły i kursy zawodowe;
IV — a) szkoły wyższe,
b) szkoły akademickie.

Przedszkoli w Polsce mamy obecnie 1185 z 66,603 dziećmi. Niema dotąd żadnego programu, normującego pracę w przedszkolach, a i nowy projekt, przyznać trzeba, sprawy tej nie rozwiązuje. Artykuł bowiem 11 stwierdza tylko, że zasady organizacji zakładów wychowawczych dla dzieci w wieku przedszkolnym, określą oddzielne ustawy. Brak tych ustaw daje się już odczuć społeczeństwu, gdyż zbyt wiele dzieci w wieku do 7 lat jest obecnie pozbawionych minimum opieki wychowawczej. Lukę tę uzupełniają jednak organizacje samorządowe, które przedszkola takie zakładają i utrzymują.

Przechodzimy teraz do szkoły powszechnej. Wiadomo, że dotąd nie mamy jeszcze ujednostajnionego typu tych szkół. Dzielą się one na 1, 2, 3, 4, 5, 6, i 7-mioklasowe. Obecnie na ogólną ilość 26,855 szkół powszechnych mamy zaledwo 1869 siedmioklasowych, a na 3.500.000 dzieci w wieku szkolnym uczęszcza do szkół 3.100.420 czyli że około 400.000 dzieci znajdują się poza szkołą z powodu *braku szkół*.

Obecny projekt stwierdza, że podstawę szkolnictwa stanowi ***siedmioletnia szkoła powszechna*** najwyższego stopnia organizacyjnego. Szkolnictwo powszechne będzie tak zorganizowane, aby obywatele mieli możność kształcenia dzieci w szkołach ***możliwie najwyższego*** stopnia organizacyjnego. Jednak ustawa przewiduje, że liczba klas szkoły powszechnej będzie uzależniona od liczby dzieci, przynależnych do *danej* szkoły. Ten rozdział sankcjonuje niejako dotychczasowy system, gdyż nie wszystkie dzieci będą miały dostęp do 6 i 7-klasowych szkół. Sprawa ta jest paląca, zwłaszcza, że ustawa w danych artykułach ***uzależnia wstąpienie do szkoły średniej od ukończenia 7-klasowej szkoły powszechnej*** najwyższego stopnia organizacyjnego.

Sytuację łagodzi niejako fakt, że do przyjęcia do niektórych poszczególnych szkół, względnie szkół zawodowych wystarczy ukończenie szkoły powszechnej nie najwyższego stopnia organizacyjnego. Ustawa więc staje na punkcie podziału szkoły powszechnej na niższą i wyższą, tak samo jak w Austrji i w Niemczech.

Projekt rozróżnia dwie kategorje szkół i kursów zawodowych. Do niektórych przyjmuje się kandydatów, posiadających wykształcenie w zakresie programu siedmioletnej szkoły powszechnej, do innych—kan-

[1]) Materjał faktyczny czerpiemy z książki Red. Romana Tomczaka „O naprawie szkolnictwa w Polsce". Wyd. Bibliot. „Przełomu", 1928 r.

dydatów, posiadających wykształcenie trzech lat szkoły ogólnokształcącej (obecnie 6 klasa gimnazjalna). Jak już wyżej zaznaczyliśmy, do poszczególnych rodzajów szkół zawodowych wystarczy ukończenie szkoły powszechnej nie najwyższego stopnia organizacyjnego. Nader ważna jest druga kategorja, gdyż pozwoli ona rozwinąć się szkołom t. zw. wyżej - średnim, przygotowującym tak potrzebne Polsce kadry fachowców na stanowiska kierownicze, gdzie najdotkliwiej daje się odczuć brak sił wykwalifikowanych (a więc instruktorów, majstrów i t. d.). Po skończeniu tego typu szkoły, absolwent może wstąpić do szkoły akademickiej po złożeniu odpowiedniego egzaminu. Osoby, które nie skończyły żadnej szkoły, mogą dostać się do szkół zawodowych tylko po uprzedniem sprawdzeniu ich kwalifikacyj. Kwestja więc szkół zawodowych, tak bardzo potrzebnych Rzeczypospolitej, została przez ustawę otoczona specjalną pieczołowitością.

Szkoły średnie, według programu urzędowego, mają być pięcioletnie. Do pierwszej klasy szkoły średniej ogólnokształcącej (t. j. do obecnej klasy czwartej) przyjmuje się, po uprzedniem sprawdzeniu kwalifikacyj, kandydatów posiadających świadectwo ukończenia siedmioletniej szkoły powszechnej. Dzieci nie posiadające takiego świadectwa mogą być przyjmowane do klasy pierwszej w miarę wolnych miejsc, jeśli: a) w danym roku kalendarzowym skończą co najmniej lat 13 i b) złożą egzamin wstępny w zakresie programu siedmioletniej szkoły powszechnej.

A więc w pierwszym rzędzie do szkół średnich będą przyjmowani *absolwenci 7-klasowych szkół powszechnych*, a inne dzieci *w miarę wolnych miejsc*. Nie znaczy to, że pierwszych przyjmie się odrazu na mocy świadectwa szkolnego: muszą oni również poddać się egzaminowi w formie „sprawdzenia ich kwalifikacyj". Niewiadomo, co ustawa ma na myśli, czy egzamin z jednego lub kilku przedmiotów, czy też ze wszystkich przedmiotów, czy też chodzi o konkurs świadectw szkół powszechnych. Sprawa ta wymaga dokładnego wyjaśnienia.

Co do innych kandydatów — ustawa wyraźnie uzależnia ich przyjęcie do złożenia wstępnego egzaminu. Nie znaczy to jednak, że nowa szkoła zacznie już w tym roku obowiązywać i że ten typ szkół średnich będzie u nas jedyny. Ustawa bowiem nie przewiduje ścisłego okresu przejściowego, przeciwnie, uzależnia ten okres z jednej strony od rozwoju szkolnictwa powszechnego, z drugiej zaś od woli Ministra W. R. i O. P. Art. 30 brzmi: „Klasy wstępne przy szkołach średnich ogólnokształcących będą zwijane stopniowo w miarę rozwoju szkolnictwa powszechnego na dawnym terenie, a w szczególności zależnie od liczby odpowiednio przygotowanej młodzieży, kończącej na danym terenie siedmioklasową szkołę powszechną. Decydowanie w sprawie czasu zwijania klas wstępnych w poszczególnych szkołach należy do Ministra".

Nie wszystkie szkoły średnie będą pięcioletnie. Mogą być zakładane szkoły średnie ogólnokształcące trzyletnie. Przy opracowywaniu programów 5-letnich szkół średnich będą wzięte pod uwagę potrzeby młodzieży, która opuszcza szkołę po trzech latach nauki (obecne sześcioklasowe wykształcenie). Dla uzupełnienia wykształcenia tej młodzieży, nie wstępującej do szkół zawodowych, w miarę potrzeby mogą być tworzone roczne kursy, łączące w swoim programie uzupełnienie wykształcenia ogólnego z przygotowaniem praktycznem do pracy zawodowej w pewnych dziedzinach.

Oprócz nowego typu szkół, może być utrzymana dotychczasowa szkoła Minister bowiem z mocy art. 9 ustawy ma prawo uprawnienia szkół prywatnych o innej organizacji ze szkołami rządowemi. W ten sposób nowa reforma powoli obejmie wszystkie szkoły rządowe, pozostawiając inicjatywie prywatnej rozwój szkolnictwa o dotychczasowej albo nowej organizacji.

W ten sposób omówiliśmy w skróceniu wszystkie rodzaje szkół (prócz wyższych i akademickich) w ramach nowej ustawy. Kwestja ustroju szkolnictwa nie została jeszcze definitywnie załatwiona przez czynniki miarodajne. Pozostaje ona nadal otwarta i stanowi obecnie przedmiot dyskusji między projektodawcami z jednej strony, a nauczycielstwem z drugiej. W chwili obecnej trudno przewidzieć los zamierzonej reformy, ale stwierdzić należy, że do krytycznej oceny projektu rządowego powołane jest w pierwszym rzędzie nauczycielstwo. Do niego więc należy głos.

A. Tymiański.

Sport u Tatarów.

„SABAN-TUJ“—ŚWIĘTO PŁUGA. LEKKOATLETYKA i „DERBY“ U LUDÓW WSCHODU.

Na początku wiosny odbywa się u Tatarów mahometańskie święto „Saban tuj“. Święto to nie jest religijnem w ścisłem tego słowa znaczeniu, aczkolwiek czasem odbywa się razem z „bajramem“, gdy ta ostatnia uroczystość przypada na początek wiosny. „Saban-tuj“ albo, w dosłownem tłumaczeniu, „święto pługa“, jest świętem sportowem.

Każda wieś tatarska, czy to biedna, czy bogata, uroczyście obchodzi „Saban-tuj“, przytem sąsiednie wsie, urządzają się w ten sposób, aby święto nie przypadało na jeden i ten sam dzień.

Najciekawszą imprezą święta — to wyścigi na nieosiodłanych koniach, odbywające się z wielką brawurą po nierównej polowej drodze na 8,10 i 15 kilometrów. Jeźdźcy, chłopcy 12-15-letni, zawczasu trenują swe konie do wyścigów. Przez czas treningu konie nie dostają siana, owies zaś otrzymują w niewielkiej ilości, gdyż Tatarzy specjalnie przyzwyczajają je wtedy do specyficznie tatarskiego pokarmu—napoju z mąki owsianej. Konia trenuje się tak długo aż schudnie i staje się podobny do myśliwskiego psa. Wtedy dopiero nadaje się do wyścigów.

Na drugą część święta składa się bieg dorosłych mężczyzn oraz ćwiczenia atletyczne. Niemniej ciekawe jest włażenie na gładko wystrugane maszty albo też bieg dzieci w workach, związanych na gardle.

Zarówno jeźdźcy, jak i zapaśnicy, lekkoatleci i inni zwycięzcy otrzymują nagrody w postaci bogato wyszytych ręczników, drogich materyj, chustek i t. zw. „czapłaszek“ (rodzaj wyhaftowanej fezki).

W przeddzień święta zjeżdżają się do wsi goście z okolicy i sprowadza się konie wyścigowe. Od samego rana mieszkańcy wsi znajdują się na ulicy. Gdy święto przypada na piękny, wiosenny dzień, ulice pstrzą się od różnokolorowych męskich chałatów i beszmetów; w chłodniejsze dni barankowe, ciemne beszmety przykrywają barwniejsze stroje. Kobiety w swych pstrych ubiorach, przykrytych jedwabnemi lub wełnianemi szalami, przybranemi bukietami kwiatów, skromnie stoją przy bramach i na balkonach, oczekując widowiska. Dzieci bogatych Tatarów dumnie spacerują, pysząc się nowym baszmetem i drogą czapką, biedniejsi zaś—boso, w różnobarwnych koszulach, z kwiatkiem u czapki, wesoło drepcą po wiosennem błocie.

Po obiedzie wszyscy gromadnie udają się za miasto, na przedtem wyznaczoną drogę albo też na plac przed meczetem.

W niektórych wsiach droga, którą mają przebyć jeźdźcy i lekkoatleci, zostaje ogrodzona sznurami, w innych zaś tworzy się żywa ściana z widzów, często swym entuzjazmem przeszkadzająca jeźdźcom i lekkoatletom w osiągnięciu finish'u.

Pod dozorem najbardziej szanowanego i doświadczonego Tatara jeźdźcy ruszają zawczasu naprzód po drodze; jednak i to nie odbywa się bez podstępów. Wobec tego, że odprowadzający jeźdźców Tatar, przejechawszy określoną ilość kilkometrów, nagle zawraca konia, krzycząc „hajda“, „jazda“! domyślni współzawodnicy jadą przez cały czas bardzo ostrożnie, starając się przynajmniej o głowę pozostawać wtyle, aby móc natychmiast po komendzie wysunąć się naprzód. Skaczą z szaloną szybkością, na złamanie karku,

krzycząc i wyjąc przy tem, jak młode wilki, ochlapując się nawzajem błotem. Szalony ten wyścig na nieosiodłanych koniach, — przyczem jeźdźcy mają na sobie tylko kolorowe w kwiatuszki przybrane koszule i chusteczki na golonych głowach, zamiast czapek, — podnieca widzów i zachwyca swą pierwotną dzikością. Niema tutaj żadnych prawideł, wybacza się każdy podstęp, — aby tylko zwyciężyć!

Tatar za najwyższą cenę nie sprzeda ulubionego konia, który jest chlubą właściciela na podobnych uroczystościach: masz dobrego konia, a więc więcej szacunku, więcej zaproszeń do okolicznych wsi, więcej nagród, a to przecież każdemu jest miłe.

Każdy gospodarz jest zobowiązany do złożenia jednego przynajmniej ręcznika na święto „Saban-tuj"; im więcej ręczników ofiaruje wieś, tem większy jest zaszczyt, tem więcej przyjezdnych jeźdźców, tem większa sława o gościnności wsi.

Dorośli mężczyźni—lekkoatleci niemniej chlubią się swą wytrzymałością w biegu, aczkolwiek pod koniec zawodów — ich blade twarze, otwarte, ciężko oddychające usta i czerwone oczy, nie sprawiają tak przyjemnego wrażenia, jak widok dzikich jeźdźców.

Za przykładem starszych biegną i małe dzieci, pchając się nawzajem do błota, ku wielkiemu zadowoleniu widzów, a bieg w workach wywołuje nieustający homeryczny śmiech rozbawionych tłumów. Włażenie po gładkim słupie, po znajdującą się na wierzchołku chusteczkę, wywołuje również wybuchy śmiechu, gdyż co chwila mniej wytrzymały zawodnik spada, jak kula, nadół. W tych zawodach zwycięstwo zazwyczaj przypada dzieciom, dlatego też sport ten nie jest tak popularny, jak inne, i w wielu wsiach zawody te wogóle nie odbywają się.

Wszystkie te imprezy odbywają się przy nadzwyczajnem podnieceniu widzów, gorąco oklaskujących każde zwycięstwo, zwłaszcza w biegu lub wyścigach; natomiast walki atletów odbywają się w zupełnym spokoju, w skupieniu prawie, gdyż w tym wypadku tłum —publiczność zastępuje sędziów.

Za wsią, na łące, ciasnym kołem usadowiają się bogaci gospodarze i goście, rozłożywszy przed sobą różnobarwne i najdroższe chustki; za nimi stają widzowie; wszyscy w skupieniu śledzą każdy ruch atletów. W chłodne dni walczą w lekkich beszmetach, podczas upału w koszulach. Każdy z walczących dostaje ręcznik albo wełniany pas, który owija naokoło bioder. W walce wolno trzymać przeciwnika tylko za ten pas; natomiast chwytanie rąk i nóg przeciwnika jest zabronione i pociąga za sobą przegraną. Pary obejmując się w ten sposób, długo depczą się na miejscu, starając się podnieść przeciwnika i przerzucić go przez siebie. W walce tej, prócz siły, potrzebna jest zwinność i wprawa. Często domniemany zwycięzca zostaje naraz przerzucony przez przeciwnika i pokonany.

Zdala od mężczyzn, przy parkanach i na balkonach, barwne, odświętnie ubrane grupy kobiet przyglądają się zawodom, dzieląc się pocichu wrażeniami. Godzinę przed wieczorną modlitwą kończy się święto. Gospodarze śpieszą do domów, aby należycie przyjąć przyjezdnych, z którymi do późna rozmawiają o minionem święcie.

Młodzież zaś długo jeszcze spiera się na temat niesprawiedliwych i niezasłużonych w jej mniemaniu zwycięstw... przeciwników.

Opisane wyżej rozrywki sportowe są popularne zarówno śród Tatarów, jak i Kirgizów, Kałmuków i innych wędrownych ludów środkowo-azjatyckich. Nie dziw przeto, iż Tatarzy, zamieszkujący obecnie różne kraje, między innemi w niewielkiej ilości osiedli i nas w Polsce, przechowują te tradycje, gdzie snuje się jeszcze wątła nić, łącząca ich ze współplemiennikami we wspomnieniach o świetnej niegdyś przeszłości.

Wiadomości sportowe.

Rada ministrów na jednem z ostatnich swych posiedzeń pod przewodnictwem p. wice-premjera Bartla, uchwaliła wyasygnować 600 tysięcy złotych na potrzeby sportu i wychowania fizycznego.

Polscy narciarze w St. Moritz. Polska reprezentacja narciarska, składająca się z 26 osób (pp. Fächer, Grossman, Simonsen, dr. Mazurek, 11-stu narciarzy-olimpijczyków, patrol wojskowy w składzie: kpt. Łucki, por. Woycicki, Niemiec, W. Czech, Żytkowicz, Skupień), przybyła do St. Moritz w Szwajcarji, gdzie weźmie udział w wielkich międzynarodowych zawodach narciarskich.

Łyżwiarskie mistrzostwa Warszawy rozegrane w dn 4 i 5 lutego zakończyły się zwycięstwem Majewskiego (W. T. C.) przed Kamińskim i Dembowskim. Wyniki szczegółowe były następujące: 500 mtr. 1) Majewski 53.4, 2) Dembowski 55.8, 3) Habich 56.4,—1500 mtr. 1) Majewski 2:51.4, 2) Kamiński 2:58.4, 3) Dembowski. 5 klm. 1) Kamiński 10:26.8, 2) Majewski 10:38, 3) Dembowski 10:43. 10 klm. 1) Majewski 21:29.4, 2) Kamiński 21:38.

W biegu 42 klm. Nehring osiągnął czas 1:47:00.4.

W jeździe figurowej panów zwyciężył Iwaszewicz (W. T. Ł.). W jeździe parami Szwejcerówna i Perczyński.

Mistrzostwo Polski w jeździe figurowej na lodzie, rozegrane po zawodach jazdy szybkiej we Lwowie, przyniosło zwycięstwo Kikiewiczowi przed Wł. Kucharem. Mistrzostwo w tańcu parami zdobyła para Bilorówna i Kowalski.

Kikiewicz weźmie udział w łyżwiarskiem mistrzostwie świata w jeździe figurowej, które rozegrane zostanie w Berlinie w dniach 18 i 19 b. m.

Budowę pływalni w Warszawie rozpoczął Polski Związek Pływacki przy pomocy finansowej P. U. W. F. Projekt pływalni, wykonany przez inż. Paszkowskiego wzoruje się na najnowszych budowlach zagranicznych, jak Piscine de Tourelles w Paryżu, lub Liettoriale w Bologni. Obejmuje on basen żelazo-betonowy 50 x 25 mtr., trybuny na 3.500 osób, a pod trybunami szatnie, natryski i t. d.

Stadjon jest budowany na terenie graniczącym z placem sportowym Legji i będzie stanowił własność skarbu państwa. Zarządzać stadjonem będzie P. Z. P.

Kalendarz sportowy Polskiego Zw. Pływackiego przewiduje w r. 1928 następujące imprezy: Czerwiec — mistrzostwa okręgowe. 14 i 15 lipca — pływackie mistrzostwa Polski. 21 i 22 lipca — mistrzostwa słowiańskie w Pradze. 4 — 11 sierpnia Olimpjada pływacka. 18 — 19 sierpnia—zawody międzynarodowe w Warszawie. 26 sierpnia—mistrzostwa długodystansowe Polski. 8 — 9 września — mistrzostwa Polski w piłce wodnej.

Tradycyjny mecz węgierskiej drużyny Vasas z Budapesztu z Cracovią rozegrany będzie prawdopodobnie na Zielone Święta w Krakowie.

Już trzydzieści jeden państw zgłosiło się do rozgrywek o puhar Davisa, bijąc tem samem wszystkie dotychczasowe rekordy i świadcząc wymownie o ogromnym rozroście sportu tennisowego. W strefie europejskiej przybyły Szwecja i Rumunja, w strefie amerykańskiej Kanada i Kuba.

Paryż otrzymuje wspaniały stadjon tennisowy, nie ustępujący zupełnie słynnemu Wimbledonowi. W stadjonie tym zostaną rozegrane rozgrywki finałowe o puhar Davisa. Trybuny będą mogły pomieścić 20,000 widzów.

Bieg naprzełaj 4-ch narodów ma być rozgrywany na propozycję związku rumuńskiego corocznie między Polską, Czechosłowacją, Jugosławią i Rumunją. Pierwszy bieg odbędzie się w Pradze w r. b. Każde państwo wysyła po 4-ch zawodników.

TO i OWO

Radjo w cyfrach.

Angielska izba handlowa ogłosiła niedawno statystykę zainstalowanych w chwili obecnej radjoaparatów na kuli ziemskiej. Cyfr statystycznych dostarczyło 57 państw na podstawie oficjalnych wykazów, zarejestrowanych przez władze pocztowe.

Ogólna cyfra wykazała ogółem 18 miljonów. Jest to ilość daleka jeszcze od stanu nasycenia. Gdyby w państwach, które, nadesłały wykazy, każda rodzina miała radjoaparat, a do tego zdąża radjowa polityka i propaganda, wówczas ogólna ilość aparatów musiałaby wynosić około 200 miljonów.

Porównywując ilość abonentów w Polsce i innych krajach, otrzymujemy następujące dane:

W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej jest 6.300.000 aparatów; w Niemczech 2.000.000 aparatów; w Anglji 2 250.000 aparatów; w Austrji 280.000 aparatów; w Polsce 117.000 aparatów.

Wprawdzie w Polsce ilość aparatów w stosunku do zaludnienia jest jeszcze znikomo mała, gdyż jeden aparat wypada zaledwie na 250 mieszkańców, lecz trzeba przyznać, że Polska stosunkowo dość późno zainteresowała się sprawą radja i jest zbyt uboga, by w szybkiem tempie mogła się ludność zaopatrzyć w odpowiednią ilość aparatów.

Jesteśmy od Niemców 6 razy biedniejsi w liczbę radjoaparatów, gdyż tam wypada 1 odbiornik na 40 mieszkańców. W każdym razie sytuacja i u nas stale, choć powoli się poprawia.

Muzyka dzwonów w eterze.

Oprócz oficjalnych znaków wywoławczych wiele stacyj w Europie posiada pewne charakterystyczne, swoje własne zawołania. W szczególności dzwony odgrywają arcypoważną rolę w świecie i każde szanujące się studjo dołącza do swych audycyj wesołe lub poważne tony dzwonów miejscowego kościoła.

I tak: Langenberg poprzedza swe programy rozkołysaniem wielkiego dzwonu katedry w Kolonji, naprzemian z wesolemi bim - bam mniejszych dzwonków. Gdańsk nadaje skrzypiące tony kurantów wieży zegarowej starego kościoła Św. Katarzyny. Wizleben posługuje się dzwonami „Parochialkirche" w Berlinie, Frankfurt daje codziennie od 10.55 do 11.00 muzykę dzwonów historycznych zamku w Darmstad. Monachjum i Lipsk kończą nadawanie wśród dźwięków zegara kurantowego wieży ratuszowej.

Madryt rozsyła dźwięki wieży zegarowej Ministerstwa Spraw Wewnętrznych: Kopenhaga — wieży Roadhustornet.

Moskwa wreszcie rozbrzmiewa w eterze tonami wieży Kremlińskiej na nutę międzynarodówki.

W tym chórze dzwonów — polski, dostojny Zygmunt zrzadka zabiera głos. Zato codziennie w południe ze wszystkich stacyj polskich płyną dźwięki krakowskiego hejnału z wieży Marjackiej. Ten tradycyjny hejnał polski, dziś dzięki radju znany w całej Europie, stanowi najpiękniejszy odzew w rozgwarze fal rozkołysanych tonami dzwonów.

Azjatycki król u papieża.

Władca Afganistanu, Amanullath, będąc w swej podróży europejskiej w Rzymie, złożył wizytę Ojcu Chrześcijaństwa. Papież przyjął uroczyście króla Amanullatha, jak w roku ubiegłym dopuścił przed swe oblicze innego wschodniego władcę, mianowicie króla Egiptu. Dotychczas królowie udawali się do Watykanu w złoconych karocach papieskich — obecnie jednak, zgodnie z nowem rozporządzeniem Ojca św., karety zostały zastąpione nowoczesnemi samochodami, na których widnieją herby papieskie.

O godz. 10 rano pięć limuzyn zatrzymało się przed Grand Hotelem, w którym mieszkał król Amanullath. Afgański władca w otoczeniu świty i gwardzistów papieskich

udał się do Watykanu. W podwórzu powitał go oddział szwajcarów, zaś orkiestra odegrała hymn afgański, który opiera się na motywie muzułmańskiej modlitwy.

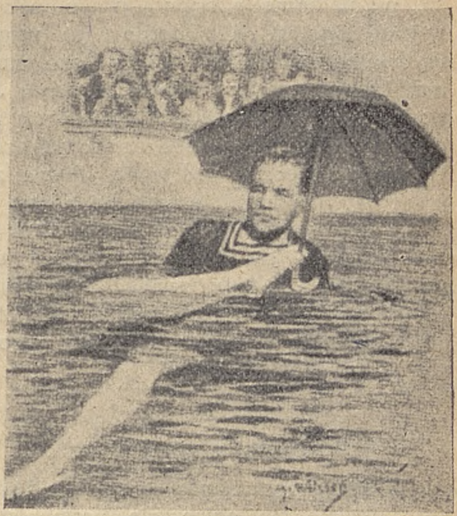
Papieski mistrz ceremonji wprowadził króla oraz jego teścia, ministra spraw zagranicznych i członków świty do małej sali tronowej, w której Ojciec św. oczekiwał gości. Papież i król Afganistanu zajęli miejsca na dwóch tronach. Rozmowa prowadzona za pośrednictwem tłumaczy trwała piętnaście minut. Papież mówił po francusku, zaś tłumacz afgańskiego poselstwa, Islambek, powtarzał słowa Ojca św. po afgańsku, pomimo że król włada językiem francuskim.

Ku ogólnemu zdziwieniu władca Afganistanu nie zastosował się do tradycyjnego zwyczaju przyklękania przed Ojcem św. i ucałowania jego ręki, ograniczył się bowiem do złożenia mu głębokiego ukłonu. Na zakończenie audjencji Ojciec św. ofiarował gościowi oznakę Złotej Ostrogi oraz przepiękną **minjaturę**.

Untan, bezręki pływak i akrobata.

Na jarmarkach i zabawach ludowych często widzimy najróżnorodniejsze potwory, karlików, wielkoludów i t. p. Nieszczęśliwe te istoty, tak po macoszemu potraktowane przez matkę-naturę, przykuwają uwagę zabobonnego ludu, mniemającego, że nienormalny rozwój ludzkiego ciała jest jakąś sztuczką djabelską, albo też skutkiem „złego oka". Oczywiście, uczeni zwalczają te naiwne wierzenia: wskazują na istotne przyczyny, nie mające nic wspólnego z czarodziejstwem, a wpływające na rozwój *embrjonu* ludzkiego.

Zewnętrznie wpływy te ograniczają się zwykle tylko na jednym z organów ciała ludzkiego, który nagle przestaje się rozwijać albo rozwija się nienormalnie i przybiera potworną formę. Na paryskich jarmarkach wielką popularnością cieszył się niejaki *Little Teach*, który miał w dziwny sposób powykręcane łydki: znalazły się one na przedniej części nogi i tworzyły jedną linję z kolanami. Jeszcze większą sławą cieszyła się kobieta-homar, która miała na rękach i nogach po dwa olbrzymie palce, przypominające kleszcze potwornego raka. Pośród jarmarcznych potworów spotykamy często bezrękich i beznogich żebraków. Niekiedy brak kończyn nie przeszkadza im w popisywaniu się wielką zręcznością i akrobatycznemi sztukami.



Untan, bezręki pływak.

Znakomity chirurg XVI wieku, *Ambroise Paré*, wspomina w swej książce bezręką kobietę, która dobrze szyła i kroiła. Większą jeszcze zręcznością popisał się pewien bezręki młodzieniec, który wspaniale strzelał z bata, opierając kij o podbródek. Znakomity *bezręki* francuski malarz *Ducorné* miał na nogach po cztery palce, a nie przeszkodziło mu to jednak namalować cudowną Madonnę, odkupioną przez państwo dla muzeum narodowego.

Ostatnio wielką popularnością w Berlinie cieszył się bezręki akrobata *Untan*, pochodzący z Królewca. Liczy on 50 lat, cieszy się dobrem zdrowiem i byłby bardzo szczęśliwy, gdyby nie opłakiwał śmierci dwóch synów, zmarłych przedwcześnie. Obaj byli zbudowani i rozwinięci normalnie, aczkolwiek ojciec ich pozbawiony jest od urodzenia obu rąk. Stary Untan ma nogi trochę przykrótkie, ale palce u nóg, dzięki ciągłym ćwiczeniom nabrały takiej gibkości, że Untan może rozszerzyć je nakształt wachlarza.

Bezręki ten Niemiec wiele podróżował, jest wykształcony i biegle włada dziesięcioma językami. Zajmuje się również publicystyką, ale twierdzi, że „fach" ten jest o wiele gorzej płatny, aniżeli praca w cyrku. Publice bardzo się podoba, kiedy Untan goli

się, gra na kornecie, ogrywa swego partnera w karty i potem odkorkowuje nogą wygraną butelkę wina. Najlepszym jednak „numerem" Untana są popisy w basenie z wodą. Jak wszyscy dobrzy pływacy, bezręki artysta nabiera w płuca dużo powietrza i potrafi przez kilka minut siedzieć pod wodą. Pływa zaś jak ryba i momentalnie podnosi z dna talerz i pięciofrankową monetę, przyczem talerz znajduje się w palcach nogi, a moneta w zębach. Podany rysunek daje poniekąd pojęcie o zdolności tego bezrękiego pływaka, który czuje się w wodzie tak samo wygodnie, jak w miękkim fotelu.

Statystyka głupców.

W amerykańskiej gazecie „New-York-Sun" ukazało się ogłoszenie następującej treści: „Zwróć mi dolara, Smith, Newban-Street 21". Nazajutrz na tem samem miejscu i temi samemi czcionkami wzdrukowany został drugi anons: „Tylko do jutra masz jeszcze czas do wniesienia tego dolara". Następnego dnia ton ogłoszenia był już ostrzejszy: „Jeżeli jutro nie otrzymam dolara, powezmę odpowiednie kroki".

Jeden z dziennikarzy, zaintrygowany dziwaczną treścią tych ogłoszeń, udał się pod wskazany adres, aby zapytać tajemniczego pana Smitha o znaczenie jego anonsów. Diennikarz był pewny jakiejś sensacji i chcąc dostać się do biura Smitha, postanowił udać dłużnika, wnieść dolara, a następnie pod byle jakim pozorem uzyskać interview. Przyjął go jednak sekretarz, który w odpowiedzi na prośbę dziennikarza grzecznie odrzekł, że dolara może przyjąć, natomiast ani on, ani jego szef nic tymczasem w tej sprawie nie mogą wyjaśnić. Wszelkie pytania dziennikarza nie zdały się na nic, gdyż sekretarz milczał jak ryba.

Po kilku dniach tajemnica została wyjaśniona. Bogacz Smith, jeden z potentatów finansowych Ameryki Północnej, założył się o znaczną sumę ze swymi przyjaciółmi, że podane przezeń ogłoszenia zwabią conajmniej stu głupców, którzy przyniosą mu po dolarze. Okazało się jednak, że pomylił się co do liczby: zgłosiło się bowiem do jego sekretarza w ciągu tych trzech dni 1600 osób, z których każdy wniósł jednego dolara pod wskazany adres

Smith wygrał zakład, ty zaś, czytelniku przypomnij sobie zdanie Szekspira: „Są rzeczy, o których nie śniło się nawet filozofom". Nikt z nas nie spodziewał się chyba, że w mądrej Ameryce znajduje się 16 razy więcej głupców, aniżeli przypuszczał nawet tak doświadczony „businessman", jak pan Smith.

Pogrzeb goryla.

„Gazeta Kołomyjska" donosi: W podróżującym po Węgrzech wędrownym cyrku zachorował wspaniały goryl i zdechł, zanim wezwano weterynarza specjalistę.

Właściciel cyrku, śpiesząc na występy do sąsiedniego miasta, nie miał czasu zająć się grzebaniem padliny lub spreparowaniem skóry i szkieletu. Trup goryla okryty jakąś szmatą rzucony został do rowu wpobliżu małej wioski w okolicy Marmarsz Szigeth.

Czas upływał, a cyrk wędrując z miasta do miasta oddalił się znacznie od tych okolic. O trupie goryla zupełnie zapomniano.

Po kilku tygodniach, jeden z okolicznych chłopów, przechodząc drogą, znalazł przypadkowo zagadkowego trupa, owiniętego w tkaninę. Zaalarmował więc całą wieś i wszyscy okoliczni chłopi napróżno biedzili się nad wyjaśnieniem zagadki tajemniczych zwłok. Wreszcie jeden z wieśniaków przypomniał sobie, że w okolicy tej bawił niedawno pewien bogaty cudzoziemiec, który zapuszczał się na dalekie wycieczki w góry. Zdecydowano więc, że na pewno złoczyńcy zabili nieostrożnego turystę i ograbili go z odzienia.

Poczciwi chłopi postanowili sprawić pogrzeb nieboszczykowi. Trupa goryla włożono do pięknej trumny, przeniesiono na cmentarz i tam go uroczyście pochowano.



Kobieta z ptaszkiem.

SCENKA NA STACJI KRESOWEJ.

Przy wejściu na peron, gdzie sprawdzano bilety na podmiejski pociąg, tłoczyła się u drzwi ciżba podróżnych z tłomoczkami i koszykami. W tłumie stała kobieta, w jednej ręce trzymając koszyk, a w drugiej klatkę z ptaszkiem.

— Przechodźcie do licha! Czego tam sterczycie? — krzyknęła.

— Bilety kontrolują...

— Tu kontrolują, w pociągu kontrolują... Chryste Panie!

— Wszyscy dziś nabrać chcą, a tu jeszcze rozporządzenie wydali, aby bagaż przeglądać staranniej, inaczej pół wagonu ci przemyci, przejście zatarasuje i wiezie na darmochę... A skarb traci!

— U mnie, choćby ci ślepia wyszły, to więcej nie dojrzysz -- rzekła kobieta wskazując na ptaszka.

— No, no, potem pogadamy! A teraz przełaź! — krzyknął kontroler, patrząc z pod okularów na kolejkę. — Bilety, bilety... Hej, stój! Ty, z ptaszkiem, gdzieś zalazła? — Bilet!

— Przecież już pokazywałam...

— A bilet dla ptaka?

— Jakto dla ptaka? Dla ptaka niema!...

— To i przejazdu niema!

— Jezusie Nazareński! Co to jest?

— Idź, kobito, do oddziału bagażowego, tam zapłacisz, kwit ci na ptaszka wydadzą, a wtedy przychodź, — powiedział kontroler.

Równocześnie wetknął jej bilet do dłoni i machnąwszy ręką gdzieś w przestrzeń, co miało wskazać drogę do bagażu, nadal powoli przepuszczał pasażerów, badając z pod okularów skrupulatnie bilety.

— A jak mi pociąg ucieknie?

— Zdążysz...

A gdy kobieta z ptaszkiem, podkasawszy spódnicę, pobiegła po peronie, spojrzał jeszcze za nią i dodał:

— Śpieszą się, licho wie gdzie, a spytasz — dokąd, sami nie wiedzą.

— Ej, ty, z ptaszkiem. — Gdzieś zalazła? — Za kolejką stań.

— Toć ja na ten pociąg. Tylko ptaszka zważyć.

— Wszystko jedno. Porządek musi być. Widzisz ją, z bokuby chciała liźć.

— Spacerki z ptaszkiem sobie urządza, a ty, człowieku, stój sobie ze trzy godziny, nim cię z kwitkiem odprawią...

Kobieta z klatką nic nie odpowiedziała i stanęła w ogonku.

— Szczygieł, czy co? — dobrodusznie zapytał jakiś zaciekawiony staruszek w olbrzymich kaloszach.

A że kobieta milczała, dodał:

— Zaraz widać, że szczygieł.

— A ty czego tu stoisz? — odezwał się wąsaty tragarz z numerem — Jeszcześ go nie zważyła, a już stoisz po kwit. Ot, tam idź!

Kobieta trwożliwie rzuciła się ku wadze, z której dwóch tęgich chłopów zrzucało zważone wory soli.

A kiedy jakiś człowiek w przykrótkiej marynarce, chciał wciągnąć na wagę worek z owsem, kobieta z ptaszkiem podbiegła do niego.

— Mój złociutki, ustąp mi kolejki. Ja na ten pociąg. Chwilka jedna, ptaszka tylko zważyć. On nawet nic nie waży!

— Dobra, ustąp jej, bagaż niewielki.

Kobieta pośpiesznie przeciskała się ku wadze. Przy wadze stał wagowy i, wyjąwszy z za ucha niedogryzek ołówka, coś medytował i zapisywał na obtłuczonej ladzie.

— A ty co?

— Zważyć trzeba.

— Kogo zważyć?

— Ot, to właśnie, to...

— Zaraz mi jeszcze pchłę przyniesiesz! Zwarjować tu przy was można.

— Wszyscy teraz panów udają, patrz ją, bez ptaka jeździć nie potrafi, — mówiono w tłumie, gdy wagowy wziął klatkę i stawiał ją na okutej żelazem platformie.

— Uważaj, nie złam wagi, — odezwał się jakiś drab w podartych butach, wylegujący się na workach z mąką. Bez klatki waż! Żywą wagę musisz wskazać.

— Chce skarb zbogacić...

Wagowy nic nie odpowiadał i wybierał najmniejsze odważniki. Trzymał je chwilkę na dłoni, spojrzał bezradnie i rzucił zpowrotem.

— Ależ prędzej, na miłość boską! Przez was jeszcze pociąg spóźnię.

— A poco ptaki ciągniesz? Wloką ze sobą, licho wie co, a ty, człeku, cackaj się z niemi... No, nie rusza, do pioruna, — krzyknął zniecierpliwiony, — aptekarskiej wagi trzeba!

— Czy długo jeszcze będziecie mnie tu męczyć? A niech was djabli wezmą z waszem ważeniem.

— Długo trwa, ale zato dobra waga będzie, — odezwał się ktoś z tłumu.

— Piotrowski, kiedy skończysz nareszcie z tą babą? Czego tam marudzisz?

— Kiedy nie mogę sobie poradzić z tą starą...

Drzwi drewnianego przepierzenia uchyliły się, zbliżył się drugi osobnik w służbowej czapce i stanął zdumiony przed klatką, stojącą na wadze.

Szczygieł, napuszony, siedział ponuro w klatce i posępnie spoglądał jednem okiem, przykrywszy drugie białą błoną.

— Czy on ci zachorował, czy co? —zapytał człowiek w służbowej czapce.

— Licho go wie, bodajby już zdechł...

Oczekujący w kolejce, widząc, że przy wadze gromadzą się ludzie, również podchodzili i, okrążywszy wagę, milcząc spoglądali na szczygła.

— To ci sztuka, w żaden sposób nie daje się zważyć, — rzekł wagowy i splunął.

— A czy gramowy odważnik spróbowałeś?

— Poco mi gramowy. On i na gramy nic nie waży. Żadnej wagi nie ma!

— Waga musi być. Bez wagi nic nie bywa.

— Czy długo jeszcze będziecie mnie tu dręczyć?

— Zaraz, poczekaj. Nie gderaj już lepiej.

— Omyli się jeszcze na jakieś pół tonny, z własnej kieszeni będzie potem dopłacał, — jeszcze raz odezwał się drab z nad worków.

— A może zapytać zawiadowcę i bez wagi ją puścić?

— Bez wagi nie wolno. Rozporządzenie! Zresztą, spytać można. Panie zawiadowco! — krzyknął człowiek w służbowej czapce, — czy można przyjąć bagaż bez wagi?

Z okienka wyjrzała zdumiona twarz i spytała:

— Coś ty, oszalał? Przepisów nie znasz?

— No, widzisz...

— Ej, kobieto, czegoś tam ugrzęzła? — Co to, partję bydła wieziesz, — krzyczeli ztyłu. — Co ona tam ma?...

— Zagraniczne ptaki.

— Dużo?

— Jeden tylko.

— To cóż ona tam przykleiła się?

— To ci przeklęta baba! Przez nią spóźnimy jeszcze pociąg...

— Też mi rozporządzenia — mówił wagowy — na oko nie wolno, a waga ani rusz. Zdążycie, zdążycie, czego się pchacie? To ci przyczepiło się licho, ziemi nie sięga, a patrz, ile kłopotu sprawia... Spójrz, proszę, tłumy już na ulicy stoją.

— Słuchaj, babo! Masz tu kwitek na pud bagażu i wynoś się stąd, pókiś cała, bo inaczej... — rzekł człowiek w służbowej czapce, wręczywszy kobiecie papierek i machnąwszy ręką.

Na peronie rozległ się gwizd parowozu.

— Mój Boże! — krzyknęli stojący w kolejce i, tłocząc się jeden przez drugiego, cisnęli się ku wyjściu.

— Odszedł, odszedł...

— A, licho przeklęte, to nas urządziła!

— A skąd ją djabli nanieśli?

— Kto ją wie? Udawała niewiniątko i wlazła.

— A co miała ze sobą?

— Ptaszka... A jaki maleńki!

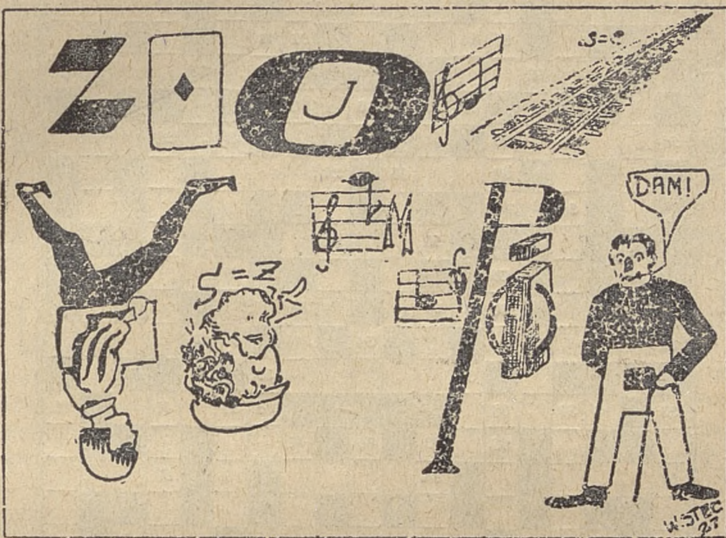
— Maleńki, — rzekł oberwaniec z ponad worków, — parę takich maleńkich przynieść, toby ci odrazu cały ruch djabli wzięli.

Napisał **P. R.**

Rozrywki umysłowe

Rebus

Nadesłał W. STEC. [2]



Logogryf.

Nad. EGIREUS" (Warszawa)

+			1. Część doby
	+		2. Drzewo
		+	3. Powitanie
	+		4. Tytuł pisma warszawskiego
+			5. Okres czasu
	+		6. Imię żeńskie
		+	7. Wydzieliny gruczołów skórnych
	+		8. Instytut meteorologiczny
+			9. „Jest" w języku obcym
	+		10. Marka aparatów fotograficznych
		+	11. Kwiat
	+		12. Spójnik
+			13. Imię żeńskie
	+		14. Miasto we Francji (fonet.)
		+	15. Rodzinne miasto Nurmiego
	+		16. Liczebnik
+			17. Moneta
	+		18. Zaimek wskazujący
		+	19. Zabawa
	+		20. Jedna w języku obcym
+			21 Imię gwiazdy filmowej polskiej
	+		22. Rodzaj prosa

Sylaby: *a ,a, a, a, a, a, a, a, a, a, a, b, b, b, b, c, c, c, c, e, e, e, e, e, e, e, e, e, g, g, i, i, i, i, i, i, l, m, n, n, n, o, o, o, o, o, ö, p, p, p, r, r, r, r, r, s, s, t, t, u, w, w, v, z, z, y.* [2]

Zadanie konikowe.

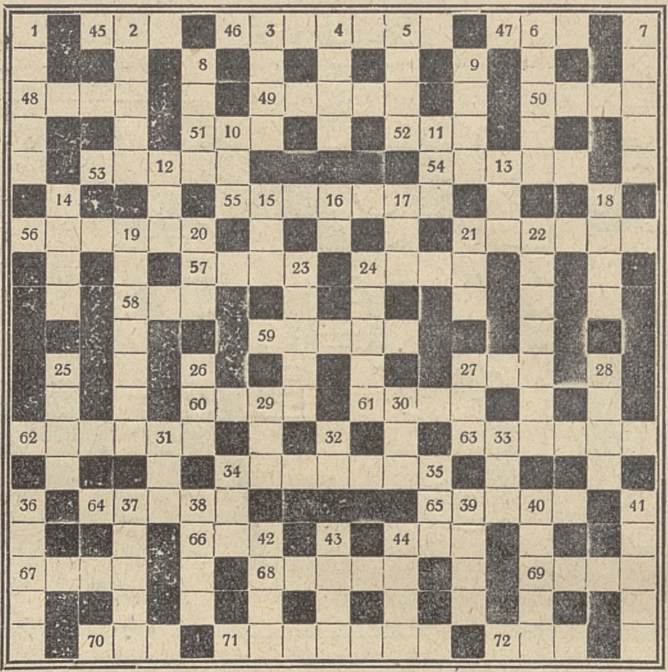
Ułożył F. GROCHOCKI (Łomża)

P	I	M	E	N	A
Y	C	i	N	S	I
Z	O	E	O	W	T
M	E	A	Y	B	Ł
Ł	D	W	A	C	Ł
R	I	H	A	A	O

Ruchem konika obejść szachownicę, odczytać imię i nazwisko autora oraz tytuły jego dzieł. [2]

Krzyżówka.

Ułożył D. HALPERN (Warszawa) [3]



Objaśnienie wyrazów:

Wyrazy pionowe.

1) Łódź przewozowa. 2) Przegroda (inaczej). 3) Kierownica na statku. 4) Imię męskie biblijne. 5) Symbol władzy monarszej. 6) Skorupa (jajka)—po francusku. 7) Przyrząd kuchenny. 8) Napój. 9) Zapora. 10) Wschód w języku obcym. 11) 1, 8, 10 litera alfabetu 12) Rzeka w Europie 13) Ofiara (inaczej). 14) Gatunek ryby. 15) Organ ciała. 16) Moneta starorzymska (wspak). 17) Proszę — po łacinie 18) Płyn. 19) Kraj w Grecji. 20) Dokument urzędowy. 21) Zaimek względny. 22) Drzewo pomarańczowe — po francusku. 23) Rodzaj głosu. 24) Początek biegu. 25) Cesarz niemiecki. 26) Płynący lód. 27) Skorupiak. 28) Formuła przysięgi. 29) Owad. 30) Imię arabskie. 31) Co—po niemiecku. 32) Bóstwo egipskie. 33) Spójnik. 34) Dostojnik w Anglji. 35) Upał. 36) Zwierzę domowe. 37) Widownia (w przenośni). 38) Pióropusz 39) Jarmark. 40) Przyrząd sportowy. 41) Inaczej pretensja. 42) Waść w staropolskim. 43) Wulkan (wspak). 44) Część podróży (wspak).

Wyrazy poziome.

21) Wysypka skórna. 24) Gatunek (inaczej). 27) Trąba myśliwska. 34) Choroba. 44) Wyraz, oznaczający stare pokolenie. 45) Miara powierzchni. 46) Bogini fenicka. 47) Produkt z mleka. 48) Miasto w Europie. 49) Rozwijam-po łacinie. 50) Bożek grecki. 51) Złodziej—w języku obcym. 52) Albowiem—po łacinie. 53) Obszerny balkon. 54) Piekło. 55) Powieściopisarz rosyjski. 56) Owoc (wspak). 57) Malec (żartobliwie). 58) Zwierzę domowe. 59) Karafka. 60) Mniemam — po łacinie. 61) Waga opakowania. 62) Pokarm inaczej. 63) Powóz. 64) Kij. 65) Miasto w Grecji. 66) Imię dziewczynki. 67) Błądzę — po łacinie (wspak). 68) Środek lokomocji. 69) Kwiat. 70) Tytuł. 71) Przedsiębiorstwo. 72) Głos mocny, gruby.

Szarada.

Nad. JERZY KRAWCZYK (Dąbrowa-Górnicza)

Chcesz uprawiać pierwsze-trzecie
— Potrzebne ci drugie-czwarte,
Nigdy osły, bo te przecie
Sq—wiadomo ci—uparte,
Zwane krótko: trzecie-czwarte.

Wszystko—śmierć nieprędko zmiecie
Lata płyną zapomnienia,
Całość się powoli zmienia
Rozrasta i potężnieje,
Tworząc życia swego dzieje. [1]

Tajemnicza łódź.

Nadesłał Leon Borowski



Kilku amatorów cudzej własności wsiadło spokojnie do łodzi i puściło się w daleką podróż. Lecz biada im! Widocznie nigdy nie czytali działu „Rozrywek umysłowych", i dlatego nie spostrzegli nawet, że na łodzi jest wyraźnie napisane nazwisko właściciela, za odcyfrowanie którego każdemu domyślnemu czytelnikowi zaliczymy jeden punkt.

Rekonstrukcja kwadratu.

Ułożył Fr. GROCHOCKI (Łomża) [2]

1	S				K
2					
3			P		
4					
5	K				T

Znaczenie wyrazów:

1. Miasto w Polsce
2. Roślina egzotyczna.
3. Atak.
4. Linje geometryczne
5. Oficer *in spe.*

Kwadrat magiczny.

Litery: *a, a, a, a, a, a, g, m, m, m, m, o, r, r, r, r,* wstawić w kwadrat, by utworzyły 4 wyrazy czytane poziomo i pionowo.

Znaczenie wyrazów; 1) Jednostka ciężaru. 2) Oprawa. 3) Bożek rzymski. 4) Inaczej widmo. [2]

Zagadki.

Wprost czy wspak czytane
To lekarstwo zdawna znane.

* * *

Wprost czy wspak
Chwili zwłoki jest to znak. [2]

Konkurs.

Za trafne rozwiązania zadań, umieszczonych w Nr. 1 „Mojego Przyjaciela" redakcja wyznacza następujące nagrody:

I. nagr. *Aparat detektorowy.*

II, III i IV — *nagrody książkowe.*

V i VI — Almanach „Mój Przyjaciel".

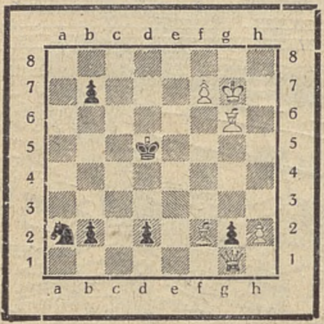
Nagrody otrzymają czytelnicy, którzy osiągną najwyższą ilość punktów. Za trafne rozwiązania poszczególnych zadań zalicza się liczbę punktów, wskazaną w nawiasach przy każdym zadaniu. Brak wskazówki oznacza że zadanie idzie poza konkursem.

Termin nadsyłania rozwiązań z Nr. 2 upływa z dniem 1 kwietnia r. b.

Lista uczestników konkursu z № 11-12, oraz spis czytelników, nagrodzonych premjami będzie zamieszczony w następnym numerze „M. P.".

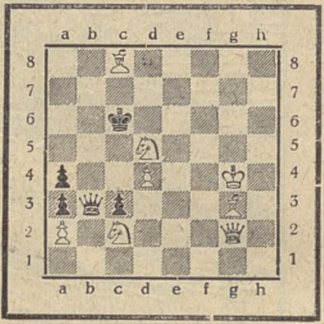
SZACHY

Zadanie № 9.
Józef Bes, Lwów „Szachy"



Mat w 3 posunięciach.

Zadanie № 10.
Orest Słobodzian, Lwów „Szachy"



Mat w 2 posunięciach.

Partja z turnieju o mistrzostwo Warszawy.

Nieregularna, grana dn. 23 stycznia 1928 r.

	Blass	Łowcki
1.	d2—d4	e7—e6
2.	Sg1—f3	f7—f5
3.	g2—g3	b7—b6
4.	Gf1—g2	Gc8—b7
5.	0—0	Sg8—f6
6.	c2—c4	Gf8—e7
7.	Sb1—c3	0—0
8.	d4—d5!	. . . .

Rozwijanie w tej partji G c 8 na b 7 jest dobre, o ile Goniec ten nie wisi w powietrzu, jak w partji czarnej niniejszej. Zrozumiał to mistrz świata Alechin w swojej sławnej partji z Muellerem, gdzie w pozycji Gońców g2 i b 7 przez obronienie Gońca b 7 umocnił ten punkt tak, jak białe bronią g 2. Blass świetnie korzysta tutaj z bezbronności Gońca b7 i osiąga przez to możliwość rozbicia czarnego środka.

8. . . . e6×d5

Lepszem zapewne było D c 8.

9. Sf3—d4! g7—g6

Smutna konieczność, osłabiająca pozycję króla.

10. c4×d5 Ge7—c5
11. Gc1—g5 Dd8—e8?

I tutaj lepszem było D c 8.

12. Gg5—h6 Wf8—f7
13. Sd4—e6! Sb8—a6

czarne nie mogą bić Skoczka, bo białe poprostu biją go pionem (d 5 x e 6) i czarne tracą jakość, bo grozi e 6 x f 7 † i G g 2 x b 7. Obrona czarnych nie jest wystarczająca, ale przynosi im w zysku za jakość piona. Nie byłoby tego wszystkiego, gdyby Dama czarna stała na c 8.

14. Se6—g5 Wf7—e7
15. d5—d6! Gb7×g2
16. d6×e7 Gg2—b7

Nie 16... G x f 1?, bo 17. Db 3 †, poczem S f 7 † i t. d.

17. Dd1—b3† d7—d5
18. Wa1—d1 c7—c6
19. e2—e4! Gc5×e7

Niebezpiecznie było grać f 5 x e 4, 20 S x e 4, S x e 4, 21. S x e 4 — ale gra obrana przez czarne również nie jest dostateczna.

20. e4×d5 Sa6—c5
21. Db3—c2 c6×d5
22. Wf1—e1 Wa8—c8

Najprościej było D d 7.

23. f2—f3 De8—d7
24. Dc2—d2 a7—a5
25. Dd2—f4 Sf6—h5
26. Df4—e3 Ge7—f6
27. Sg5—e6 Sc5×e6?

Łowcki sądzi, że 27... K f 7! broniło dostatecznie czarnej partji. Białe zapewne grały tu nie dość energicznie. Gdyby 27.., K f 7, to po wymianie Skoczków czarne mają silne piony w centrum, a gdyby 28. S g 5 † to czarny król wraca na g8.

28. De3×e6† Dd7×e6
29. We1×e6 d5—d4

czarne nie mają lepszego posunięcia. Partja ich jest przegrana.

30. Se3—b5 Gb7×f3
31. Wd1—e1 g6—g5

Na G e 4 białe grają S d 6.

32. Sb5—d6 Wc8—f8
33. Gh6×f8 Kg8×f8

i białe wygrały w końcówce. (Uwagi „Kur. Warsz.").

„Świat szachowy" № 1 (7), urzędowy organ Polskiego Związku Szachowego zawiera: Art. wstępny. Alechin—Capablanca. Partje. Drugi Turniej Szachowy o mistrzostwo Polski. Red. Warszawa, Wierzbowa, 8. Prenum. kwart. 2.70. Pojed. numer 1 zł.

„Szachy" № 9. (luty): Turniej o puhar „Szachów" —„Partja szcylijska" — „Match dr. A. Alechin — J. R. Capablanca". — Inż. W. Lasiński: „Polscy mistrze szachowi XIX wieku". — Dział kompozycji — Przegląd prasy. — Wiadomości. Redakcja: Lwów, ul. Leona Sapiechy 1. 77. Prenumerata kwartalna 3 zł. 50 gr. Cena egzempl. 1 zł. 25.

Rozwiązania żadań z Nr. 11-12.

Krzyżówka.

Wyrazy poziome:
1. Parys
5. Bob
7. Akt
9. Bałucki
11. Arsen
12. Komar
14. Bioskop
16. Gra
17. Lak
18. Barok

Wyrazy pionowe:
2. Rebus
3. Bok
4. Ski
6. Baterja
7. Akropol
8. Brama
10. Haron
13. Aster
14. Brr
15. Pat

Łamigłówka.

I.

1. I 2. War 3. Groza
4. Teatr 5. Rodan
6. Jerycho 7. Menuet

II.

1. U 2. raj 3. Selen
4. Cisza 5. Solon
6. Satrapa 7. Spokój

Rozwiązanie.

Mój Przyjaciel to nauka, to rozrywka i sport.

Logogryf.

1. Pampasy 2. Góral 3. Bazar 4. Przyzba 5, Kobza 6. Rym 7. S. 8. Ara 9. Kreda 10. Podwoda 11. Arsen 12. Orkan 13. Kilimek

Rozwiązanie: PRZYBYSZEWSKI.

Kącik szachisty.

Zadanie szachowe № 6. Rozw. 1. Wa8-g8: Gh7×g8 2a7-a8 D+...; 1... Ka1-a2.2 Wg8-b8...

Łamigłówka.

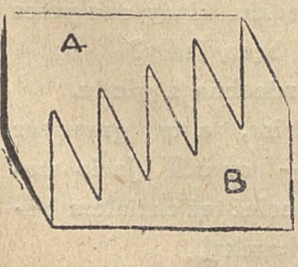
1. P 2. Buk 3. Półka 4. Pułaski 5. Wisła 6. Oko 7. J.

Rozwiązanie: PUŁASKI

Dowcipni żołnierze.

W przypadku 1-szym należy rozpocząć liczenie od 6 żołnierza siedzącego po lewej ręce gospodarza. W przypadku 2-gim — od 5 na prawo od gospodarza.

Dywan Harun-al-Raszyda.



Część B po wyjęciu przesuniemy o jeden ząb na lewo, lub A w takiż sposób na prawo. Całość utworzy prostokąt.

Magiczny kwadrat.

3	1	2
1	2	3
2	3	1

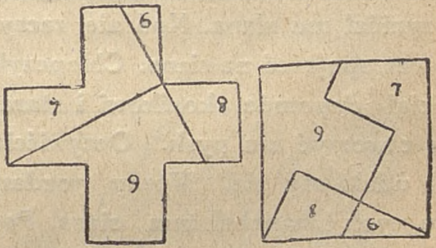
Przekładanka.

2 na 6, 1 na 6, 8 na 12, 7 na 12, 9 na 5, 10 na 5, 4 między 5 i 6, 3 między 5 i 6, 11 między 5 i 6, 13 na 11, 14 na 11, 15 na 11.

Zagadka.

Rozwiązanie: TROP—PORT.

Jak przekształcić krzyż w kwadrat?



Podajemy rozwiązanie oryginalne, wykonane przy pomocy dwóch linij prostych.

Dowcipny skazaniec.

Skazaniec połknął wyciągniętą z torebki kulkę, nie okazując jej nikomu; a gdy zdumieni tym czynem sędziowie zajrzeli do torby, znaleźli tam kulkę czerwoną. Fakt ten świadczył o tem, że skazaniec wyciągnął białą i przyczynił się do ułaskawienia mniemanego przestępcy.

Wyścigi na opak.

Nieznajomy poradził niefortunnym żokiejom zamienić się końmi i popędzić czem prędzej do miasta. Powinniśmy bowiem zwrócić baczną uwagę na tekst zadania, w którym wyraźnie zaznaczono: nagrodę otrzyma ten, którego *koń* przybędzie nie pierwszy lecz ostatni.

Sprostowania i uwagi do działu „Rozrywki umysłowe" z № 1 b. r.

Za rozwiązanie logogryfu wyznacza się 2 punkty; za zadanie konikowe 2 punkty; za krzyżówkę 3 punkty. W zadaniu konikowem, w drugim wierszu od góry zamiast „sza" winno być „szu".

KĄCIK DLA DZIECI

Konik Jasia.

Pewnego razu ojciec przywiózł Jasiowi z miasta pięknego konika na biegunach. Jasio obejrzał go ze wszystkich stron, poklepał po grzbiecie, wskoczył na siodło i uderzył parę razy bacikiem. Konik huśtał się, ale nie ruszył z miejsca. Jasio przyniósł mu siana. Koń nie raczył nawet spojrzeć na siano. Chłopczyk chciał dopomóc konikowi i starał się otworzyć mu pysk. Oczywiście nie udało mu się. Wtedy rozdarł mu pysk i napchał tam siana. Potem przyniósł dzban z wodą i począł wlewać konikowi wodę do gardła. Ale konik był z tektury i po pewnym czasie brzuch jego zrobił się miękki, nogi ugięły się, a woda zalała podłogę. Jasio obejrzał go uważnie, jeszcze więcej rozdarł mu brzuch i zajrzał do wnętrza.

Tam nic nie było, prócz siana. W międzyczasie nadeszła mama i, spostrzegłszy, jak Jasio poradził sobie z konikiem, zmartwiła się bardzo.

— Jasio, Jasio! — zawołała mama. — Jak ci nie wstyd być takim niszczycielem? Coś ty zrobił z nowiusieńkiej zabawki?

— Chciałem nakarmić mego konika, mamusiu, — poważnie odpowiedział Jasio. — Przecież każdy konik musi jeść. A on ma taki dziwny brzuch! Cały rozlazł się! I nic tam niema. Tylko siano!

Ale mama nie była zadowolona z odpowiedzi Jasia i ciągle powtarzała mu, że zabawki trzeba szanować, bawić się niemi, a nie łamać je. Kiedy mama odeszła, Jasio stanął przy koniku i myślał:

„Dlaczego mamusia się gniewa? A bo ja jestem winien, że brzuch rozlazł się?"

Jasio kopnął konia w brzuch i poszedł bawić się innemi zabawkami, których nie trzeba tak szanować.

Wieczorem, kiedy mama układała go do snu, Jasio zapytał:

— Mamusiu, czy konie, które są w stajni, jedzą i piją?

— Oczywiście, — odpowiedziała mama.

— A te, które są na ulicy?

— Też jedzą i piją.

— A co będzie, kiedy one przez długi czas nie będą jadły?

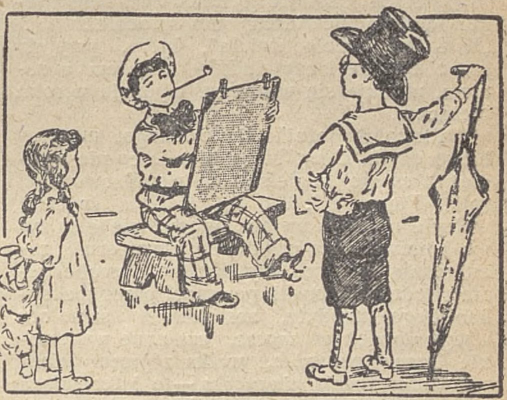
— Wtedy zdechną z głodu.

— No, widzisz, a ty gniewasz się na mnie, — zarzucił Jasio mamie, — ja przecież też chciałem nakarmić mego konika!

ZDOLNY MALARZ.



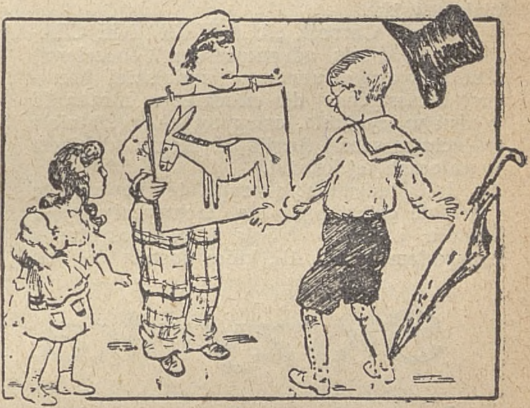
— Czy mogę prosić pana malarza o narysowanie portretu?



— Owszem, bardzo chętnie,..



— W tej chwili skończę,..



— Podobny, nieprawdaż?

ZAGADKI.

I.

Na wzgórzu nad wodą stoją mury
[sławne,
Wielkich mężów miejsce odpoczynku
[dawne;
Wkoło wzgórza stare, piękne miasto
[leży;
Wkoło miasta raźny lud w ozdobnej
[odzieży.

II.

Jestem mała, cienka, w błyszczącym
[ubiorze,
Choć mam ucho, słyszeć nic ono
[nie może;
A ciągnę za sobą włókno czarne,
[białe.
Odziewam dorosłych, także dzieci
[małe.

Z pism i książek

Stefan Barszczewski. PRZYGODY KAPITANA ST. CLAIRA są luźno związane z jego lotniczą powieścią dla młodzieży p. t. „W 8 dni dokoła świata", która, przyjęta przez krytykę i czytelników z dużem uznaniem, ukazuje się w nowem wydaniu w roku bieżącym.

Przygody lotnika francuskiego, margrabiego de St. Clair, który o mało co nie zwyciężył swego angielskiego współzawodnika (płk. Fogga z „W 8 dni dokoła świata") w locie naokoło świata, opowiedziane są żywo i barwnie i z pewnością niezmiernie zainteresują młodych czytelników. Oswobodzenie młodej Francuski, porwanej przez meksykańskiego bandytę, zestrzelenie samolotu i jego upadek do morza, cudowne uratowanie przez parowiec, walka z przemytniczą podwodną łodzią niemiecką—to interesująca fabuła opowiadania, uzupełniona nader zręcznie wplecionemi w nią szczegółami o żegludze nad- i podmorskiej.

Świetne rysunki K. Mackiewicza uzupełniają książkę.

Lewis Carroll. „ALA W KRAINIE CZARÓW", (Alice's adventures in Wonderland) jest klasycznym utworem angielskiej literatury fantastycznej dla młodzieży. Liczba 16 wydań w oryginale, osiągniętych w ostatniem 20-leciu w samej Anglji, świadczy dobitnie o walorach tej książki.

Jest tedy rzeczą zupełnie pewną, że i polskie dzieci będą się zachwycały pełną humoru i werwy fabułą i paradoksalnemi przygodami małej Ali, która dostała się do prawdziwego kraju dziwów, czarów i niezwykłości.

Józef Kłosowski. „PRZEKLĘTE MIASTO", baśnie i legendy, z ilustracjami autora, są książeczką, mimo dość konwencjonalnego ujęcia tematów poszczególnych powiastek, napisaną kulturalnie, przystępnie i zawierającą sporą garść zdrowych myśli.

Marjan Sokołowski. OCHRONA PRZYRODY W SZKOLE. Wartość idei ochrony przyrody w wychowaniu i kształceniu młodzieży. Nadkładem Państwowej Rady Ochrony Przyrody (Kraków). Z przedmową Wł. Szafera. Stron 110. Wydanie bardzo staranne. Praca napisana nader przystępnie w formie listów do przyjaciela. Uwagi i wskazówki, podane w tej książce, oddadzą nauczycielowi (niekoniecznie przyrodnikowi) duże usługi i niewątpliwie przyczynią się do rozwoju i organizacji ochrony przyrody na terenie szkoły.

„LOTNIK" organ Związku Lotników Polskich Nr. 1 (96) zawiera treść następującą: B. O. — wstępny (o mającym się odbyć w 1929 roku międzynarodowym konkursie lotniczym), inż. Radwana - Przypkowskiego „Silnik lotniczy Gnôme-Rhône-Jupiter" z 9 ilustracjami, E. Hołodyńskiego „Szkolenie Pilotów w Niemczech", dokończenie noweli Stanisława Michała Grabowskiego p. t. „Filmowa Prawda", wspomnienie pośmiertne o ś. p. Pawle Stenclu, wreszcie bogaty przegląd ostatnich wydawnictw. Pierwszy numer „Lotnika" w 1928 roku świadczy o wysokim poziomie pisma.

Skrzynka pocztowa

E. Łoza (Brzesko). Serdecznie dziękujemy za słowa pełne życzliwości i szczerości. Cenimy bardzo okazaną nam przyjaźń i wyrażamy podziękę za bezinteresowną propagandę. Przychylając się do wyrażonej przez pana prośby, wysyłamy prospekty, i prosimy o dalszą z nami współpracę, którą należycie oceniamy.

H. Wszełaczyńska (Marjanka). Miło nam było przeczytać list Sz. Pani tchnący szczerą życzliwością, zawierający miłe nam słowa uznania i... prawdy. Uwagi Sz. Pani naogół trafne przyjęliśmy do wiadomości i postaramy się je wykorzystać bez zastrzeżeń.

Wł. Silczyński (W-wa). Nową krzyżówkę, byle dobrą, zamieścimy w numerze następnym. Krzyżówka powinna być prawidłowa i wykonana tuszem. Redakcja nie jest w możności umieszczania na łamach pisma wszystkich nadesłanych prac, wybiera tylko najlepsze a rękopisów nie zwraca.

R. Rotenstein (Zawiercie). Uwaga pańska, tycząca się logogryfu jest słuszna. Redakcja licząc się z powyższem, zaliczała wszelkie logiczne rozwiązania. Pomysł rebusu dobry, rysunek niezbyt starannie wykonany, nie nadaje się do kliszowania. W tym stanie nie zamieścimy.

Leon Borowski (W-wa). Zadanie sylabowe za trudne. Ilość kombinacyj zgłoskowych olbrzymia. Przy mniejszej ilości dwu —lub trójsylabowych wyrazów nadawałoby się. Zadanie konikowe zamieszczamy. Prosimy o dalszą współpracę.

T. Jaśkiewicz (Rzeszów). Sądzimy, że jedną z cech skromności jest bagatelizowanie własnych zasług. Czy słusznie? Pan się wzbrania, my się nie narzucamy; jednak jedną z nagród, choć po terminie, przyznajemy. Prosimy o nadesłanie dokładnego adresu.

— Pan nie żartuje?

— Daję słowo gentelmana.

— Wierzę panu, panie Sammy. Wiem, że pan jest uczciwym człowiekiem. Pójdę do chaty i wezmę to złoto.

— Ale nie zapominaj pan o psach.

— Nie bój się pan, ze mną warto prowadzić interesy. Życzę panu powodzenia.

Ktoś z gości zawołał gospodarza i on szybko oddalił się, pozostawiwszy Toma w samotności.

Tom długo jeszcze słyszał śmiech i gawędę policjantów. Potem wszystko umilkło. Tylko kroki wartownika przerywały ciszę. Olbrzym natężył mięśnie. Rozległ się lekki trzask. Łańcuchy pękły.

— To jest dobre dla dzieci, — uśmiechnął się Tom. — Ciekawe, kogo mogą zatrzymać podobne zabawki?

I cicho zszedłszy z łóżka, począł na czworakach skradać się do okna. Wartownik stał odwrócony plecami do okna.

— Aha, poznaję tę małpę, —mruknął Tom. — To ten, który mnie wczoraj kopnął. Dobrze, że to on, a nie inny, tego mi nie żal.

I szybko wyskoczył przez okno. Policjant odwrócił się, ale nie zdążył nawet krzyknąć, gdy potężna pięść olbrzyma spadła mu na głowę. Nieszczęśliwy zatoczył się i runął na ziemię, jak byk, ogłuszony uderzeniem siekiery.

Olbrzym nachylił się i zbadał głowę policjanta.

— Zdaje się, rozbiłem mu czaszkę, — mruknął. Trudno, ale zresztą tem lepiej dla niego. Życie wcale nie jest tak miłe, jak to ludzie mówią.

Wziąwszy karabin wartownika, Tom skierował się ku stajni, wybrał sobie najlepszego konia, osiodłał go i cicho wyprowadził go z podwórza. Następnie wskoczył na konia i szybko pomknął na wschód.

Kapitan, którego zamknięto w innym pokoju, nie mógł usnąć tej nocy. Uważnie przysłuchiwał się temu, co się działo na dworze. Wiedział, że Tom postara się dziś czmychnąć, a doskonale rozumiał, że w razie niepowodzenia zgaśnie ostatnia nadzieja na pomoc jego ludzi. Czas jednak mijał, a na dworze wciąż panowała cisza. Wreszcie zabłysły pierwsze promienie słońca, zabrzmiały ciężkie kroki straży. Oddział wstawał, szykując się do dalszej drogi.

Kapitan zbliżył się do drzwi. Jeżeli Tom uciekł, ucieczka zaraz wykryje się. Serce biło w piersi przyśpieszonemi, tętnem.

Minęło dziesięć minut... Nic. Czyżby Sammy nie zdołał uciec, czyżby go zatrzymały jakieś nieprzewidziane przeszkody? Blady, o pałających oczach, kapitan stał przy drzwiach i przysłuchiwał się... Wtem twarz jego rozjaśniła się. Rozległ się okrzyk zdumienia, gniewu, jakiś wściekły ryk. Korsarz poznał głos Olsmajna.

— Nie żyje! Zabity! — krzyczał Olsmajn. — I konia niema. Ach, do stu tysięcy djabłów! Czyżby i ten przeklęty korsarz uciekł? Prędzej, żywo! Czego gapicie się! Marsz do jego pokoju.

Rozległ się odgłos kroków na schodach, drzwi z hałasem otworzyły się, i cały oddział wpadł do pokoju korsarza. Na widok więźnia, spokojnie spoczywającego na łóżku, zdumiona straż zatrzymała się.

— Co tam? — krzyczał zdołu Olsmajn.

— Kapitan jest.

— Sprowadzić go nadół.

Po kilku sekundach korsarz znalazł się przed groźnym obliczem naczelnika policji, który uważnie przyglądał się trupowi zabitego policjanta. Teraz dopiero Olsmajn zorjentował się w sprawie. Otwarte okno zwróciło nareszcie jego uwagę, a zajrzawszy do wnętrza stwierdził, że pokój jest pusty.

— Aha, — mruknął,—jeden więzień uciekł. No, niema nieszczęścia. Najważniejszy ptaszek został. Lżej nam będzie strzec go! Tak, panie korsarzu, — dodał ze złym uśmiechem, zwracając się do kapitana. —Będziemy opiekowali się panem, jak matka własnem dzieckiem. Chłopcy, siodłać konie! — zwrócił się do oddziału. — Dziś będziemy przy Trzech Strzałach i odpoczniemy na pancerniku.

Po chwili wszyscy siedzieli na koniach i oddział ruszył w drogę, żegnany niskiemi ukłonami gospodarza, bardzo zadowolonego z zysku, który przypadł mu w udziale tej nocy.

Po całodziennej podróży oddział przybył do Trzech Strzał, gdzie rozbito obóz. Około godziny drugiej w nocy zarysowały się wdali kształty pancernika *Destroyer* Wkrótce spuszczone z okrętu łodzie przywiozły oddział na okręt. Korsarza zamknięto w kabinie na tylnej części statku zaopatrzonej w małe okienko, przez które straż mogła obserwować każdy ruch więźnia. Teraz

dopiero Olsmajn uspokoił się. Zielona toń oceanu strzegła jeńca lepiej, aniżeli cała armja policjantów.

Olsmajn wstał późno. Po lekkiem kołysaniu się okrętu poznał, że kotwicę już podniesiono. Radośnie zacierał ręce na myśl, że nareszcie wiezie do Sydneju korsarza, który uczynił zeń pośmiewisko miasta. Zadowolony, uśmiechnięty wszedł na pokład. Wąski pas ziemi ginął już woddali. Wesołe głosy przywitały go. Przed nim stali Lawared, Lorsja i Oretta, uśmiechnięte, radosne, w jasnych wiosennych ubiorach.

— Witam pana, sir Olsmajn! — zawołał dziennikarz. — Nareszcie pan wrócił. Jak się pan czuje po podróży?

— Wspaniale, wspaniale! Pan, widzę, również czuje się nienajgorzej. Nasze panie kwitną, jak róże.

— Mój Boże, komplement! Myślałem, że podobnych zwrotów używa się tylko we Francji.

— Pan się myli. Australja ma piękny klimat i komplement kwitnie tam pod gorącemi promieniami pięknych oczu.

— Coraz lepiej! Ale—ale, zdaje się, ekspedycja udała się panu w zupełności?

Olsmajn dumnie wyprostował się.

— Przygotowałem się odpowiednio i nie wątpiłem w pomyślność ekspedycji.

— A więc Podwodny Korsarz?

— Jest potrójnym jeńcem: jeńcem oceanu, załogi okrętu i moim.

Wszyscy umilkli. Uważny obserwator z łatwością spostrzegłby, że twarze Armanda i młodych kobiet nie odbijały radości. A gdyby potrafił czytać w sercu Lorsji, odcyfrowałby tam myśl:

„Jaka szkoda! Przecież ten korsarz był opiekunem Roberta!"

Ale Olsmajn był zbyt zaabsorbowany swym triumfem, aby zauważyć dziwny wyraz twarzy swych współtowarzyszy.

— Tak, — dodał,—ten gagatek zmusił mnie do porządnego wysiłku. Muszę uznać jego zdolność. A wiecie państwo, to wspaniały gracz. Po przegraniu partji, z zimną krwią przyjął cios losu. Od czasu zaaresztowania aż do czasu osadzenia go w kabinie na okręcie, nie miałem powodu narzekać na jego zachowanie się.

— Więc zamknął go pan w kabinie? — niedbale zapytał Lawared.

— Nawet bardzo starannie zamknąłem, — odrzekł Olsmajn.

— Musi być straszny? — zapytała Oretta.

— Wcale nie.

— Rzeczywiście, nie jest straszny?

— Jest nawet bardzo ładny. Oczy ma takie łagodne, że aż mnie to zdziwiło. Wyrażając się poetycznie, jest to tygrys w skórze jagnięcia.

— Bardzo ciekawe, — szepnęła Oretta. — Chciałabym zobaczyć tego korsarza.

— Ależ bardzo proszę.

— Czy prośba moja nie krępuje pana?

— Wcale nie. We drzwiach kabiny, w której więzień siedzi, jest okrągłe okienko.

— A więc można go widzieć niepostrzeżenie dla niego? Bardzo dobrze! Chodźcie, chodźcie! Chcesz, Armandzie? Chcesz, Lorsjo?

Olsmajn grzecznie podał rękę młodej kobiecie.

— Pani pozwoli?.. — zapytał.

— Z miłą chęcią.

Wszyscy zbliżyli się do schodów, prowadzących nadół, gdy nagle do Olsmajna zbliżył się kapitan okrętu z prośbą o udzielenie mu kilku chwil.

Olsmajn powinien był odczytać raport o zachowaniu się marynarzy, stanowiących eskortę więźnia. Naczelnik policji przeprosił swych „przyjaciół" i pozostał na pokładzie. Panie szybko zeszły po schodach. Teraz nie śmiały się więcej. Nie zwykła ciekawość, lecz sympatja do korsarza, tego opiekuna Roberta, pociągnęła je nadół. Przecież to korsarz pośpieszył z pomocą nieszczęśliwemu Francuzowi, prawdopodobnie on również uwolnił i Niari, tego świadka, niezbędnego do szczęścia Roberta i Lorsji. Ale zbliżając się do celu, zwolniyły krok: opanowała je jakaś dziwna trwoga.

— Co to, czy odechciało wam się poznać naszego tajemniczego sprzymierzeńca? — cicho zapytał dziennikarz.

Pytanie to dodało odwagi Egipcjance.

W tylnej części okrętu znajdowały się trzy kabiny. Lorsja zajrzała do jednej, — była pusta, ale zajrzawszy do drugiej, spostrzegła człowieka, nieruchomo stojącego przed okienkiem. Postać ta wydała jej się znajoma. Kiedyś widziała już tę dumną twarz.

KUPON do Nr. 2.

(Wyciąć i załączyć do rozwiązania zadań)

Imię i Nazwisko ____________

____

Adres ____________

____

Wydawnictwo

„POMOC SZKOLNA“ H. Wajnera

Warszawa, Bielańska 5.

Kròtki Zarys Fizyki

L. LISSOWSKIEGO

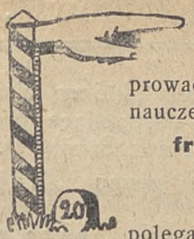
W podręczniku tym, pomimo skondensowania materjału, czytelnik otrzymuje syntetyczny obraz przedmiotu, nie tracąc czasu na zbędne wywody. Dlatego uczniowie, przerabiający fizykę według obszernych podręczników, osiągną z „Krótkiego zarysu fizyki“ szczególną korzyść w okresie przedegzaminacyjnym. Wykład przystępny, ścisłe określanie pojęć i jasne sformułowanie praw, wreszcie obfite przykłady ilustrujące, ułatwią uczniowi zrozumienie przedmiotu. W miarę możności autor uwzględniał również praktyczne zastosowanie fizyki.

PYTANIA, zamieszczone w końcu podręcznika, obejmują również całokształt fizyki w zakresie gimnazalnym.

Należy zaznaczyć, że podręcznik opracowany jest ściśle według programu Ministerstwa W. R. i O. P.

Tekst ilustrują liczne ryciny.

Cena 3 zł.



Najkrótsza droga

prowadząca do szybkiego i gruntownego nauczenia się jednego z języków obcych **francuskiego, niemieckiego** lub **angielskiego** polega na zapisaniu się na

Kurs korespondencyjny

prowadzony według współczesnej metody przez pedagogów - specjalistów pod kierownictwem p. J. FAUCONARDA, autora wielu prac z dziedziny nauki języków obcych.

Wybitną cechą naszej metody jest *przystosowanie nauki języka do indywidualnych potrzeb i zdolności* uczących się. Każdy uczący się otrzymuje kolejno lekcje, stanowiące systematyczny kurs języka, oraz materjał do samodzielnej pracy. Po przerobieniu tego materjału nadsyła go do nas i otrzymuje zpowrotem przejrzany i poprawiony wraz z objaśnieniami i wskazówkami na przyszłość. W ten sposób **Kurs korespondencyjny** zastępuje w zupełności nauczyciela.

Metoda nasza, stosowana obecnie z wielkiem powodzeniem na Zachodzie, nie wymaga od uczącego się specjalnych zdolności lub wykształcenia. Każdy może, **wykorzystując wolne od codziennych zajęć chwile**, w krótkim czasie przyswoić sobie język obcy.

Szczegółowe prospekty wysyła na żądanie **Wydawn. „Pomoc Szkolna“ H. Wajnera, Warszawa, Bielańska 5.**

Księgarnia „POMOC SZKOLNA“ H. Wajnera

Warszawa, Bielańska 5, P.K.O. 1573

WYSYŁA ZA ZALICZENIEM POCZTOWEM WYDAWNICTWA ZARÓWNO WŁASNE JAK i OBCE.

Szczegółowy katalog na żądanie **bezpłatnie.**

RREMJE dla Czytelników „Mojego Przyjaciela“

Czytelnicy „Mojego Przyjaciela“, którzy uiszczą prenumeratę za jakikolwiek bądź okres czasu — otrzymują następujące premje, (względnie ulgowe warunki przy nabywaniu książek wyd. „Pomoc Szkolna“).

Czytelnicy, prenumerujący pismo „M ó j P r z y j a c i e l“ na 1 kwartał, otrzymują z rabatem **50%**:

1) **Mały kalendarz „Mój Przyjaciel“** cena 75 gr.

2) **Almanach „Mój Przyjaciel“** tom I-szy cena **zł.** 2

Czytelnicy, prenumerujący pismo „Mój Przyjaciel“ na pół roku, otrzymują prócz wymienionych w p. 1. i 2. z rabatem **50%**

3) **Duży kalendarz „Mój Przyjaciel“**

Cena księgarska w oprawie tekturowej zł. 2.50;
w ozdobnej oprawie zł. 3.—

Czytelnicy, prenumerujący pismo „Mój Przyjaciel“ na rok, otrzymują prócz wymienionych w p. 1. 2. 3. z rabatem **50 %**

4) **Almanach „Mój Przyjaciel“, t. II|III (rocznik 1927)**

Cena księgarska **zł. 6.**

Na koszty przesyłki należy załączyć:

za Mały Kalendarz „Mój Przyjaciel“	gr. 15
za Almanach „Mój Przyjaciel“ tom I	„ 35
za Duży Kalendarz „Mój Przyjaciel“	„ 35
za Almanach „Mój Przyjaciel“ tom II/III . . .	„ 60

5) Prócz tego wszyscy prenumeratorzy pisma „Mój Przyjaciel“ korzystają przy kupnie książek wyd. „Pomoc Szkolna“ z rabatu **10%**.

Szczegółowy katalog wydawnictwa „Pomoc Szkolna“ wysyła się na żądanie bezpłatnie.

Administracja p. „Mój Przyjaciel“